Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ADWOKACI

Maciej Podgórski

str. 10

...i dotychczas nie wróciła

Tadeusz Jasiński

str. 8–9

CZAS. 2552/1976/25

ROZMOWA Z PREZYDENTEM BIAŁEJ PODLASKIEJ

str. 3

Fot. Zb. Jaśkiewicz

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 12 XII 1976 Nr 25 (615) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

TAJEMNICA RKP 16

Eugeniusz Gołębiowski

str. 6

O LUBELSKICH „KONFRONTACJACH MŁODEGO TEATRU"

pisze Mirosław Derecki

na str. 8-9

Fot. P. Kobielski

Jutro będzie za późno

NA obszarze dzisiejszego Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego instytucja swatów była w okresie międzywojennym dość popularna. Przyjeżdżali niby to kupować świniaka czy kartofle, potem rekomendowali kawalera, a wreszcie omawiali sprawę wówczas najważniejszą — posag mającej wyjść za mąż panny. W jednej z wsi pod Puchaczowem ustalił się zwyczaj, że do ślubu młodzi przyjeżdżali osobno. Wykorzystał to

Dokończenie na str. 3

BRACIA UHLE I SKRZYPCE

Ireneusz J. Kamiński

KILKADZIESIĄT lat temu senior Uhle maj strował w Puławach odbiorniki kryształkowe a później lampowe, które grały czysto i względnie głośno. Były to pierwsze „instrumenty muzyczne", jakie powstały w rodzinie.

Cztery lata temu Edward i Jerzy, synowie domorosłego konstruktora, zgłosili dzieła swych rąk i intuicji do IV Międzynarodowego Konkursu Lutniczego im. H. Wieniawskiego w Poznaniu. Prezentowały się dobrze, brzmienie miały ciekawe, więc jury tej wielkiej imprezy zakwalifikowało

Dokończenie na str 4—5

Po V Plenum KC PZPR

Od nas samych zależy

Marek Adam Jaworski

BYŁY to bardzo szczere, bardzo otwarte przemówienia. Zarówno I Sekretarz KC PZPR, Edward Gierek, na V Plenum KC PZPR, jak i Prezes Rady Ministrów, Piotr Jaroszewicz, na forum sejmowym, bez niedomówień scharakteryzowali obecną sytuację gospodarczą naszego kraju, przedstawili plany dalszego działania, nie ukrywając chwilowych trudności i wytyczając drogi prowadzące do ich przezwyciężenia. Polak nie lubi drętwej mowy. Do jego wyobraźni trafia celność argumentacji, precyzja sformułowań, jasność wyrażania myśli, znajomość tematu, przede wszystkim jednak zgodność słów i czynów. Dlatego też oba wystąpienia — I Sekretarza KC PZPR i Prezesa Rady Ministrów — znalazły szeroki rezonans społeczny.

Mija właśnie sześć lat od pamiętnego Plenum KC, które stanowisko I Sekretarza Komitetu Centralnego naszej Partii powierzyło Edwardowi Gierkowi. Nowe kierownictwo zdecydowanie postawiło na dynamiczny rozwój kraju, przedstawiając i realizując program, który pod względem rozmachu i głębokości przekształceń nie miał precedensu w dotychczasowej tysiącletniej historii. Tylko ludzie pozbawieni wyobraźni wycinkowo oceniają przebytą drogę. Tylko ludzie wrogo odnoszący się do idei socjalizmu, do Polski, nie dostrzegają ogromu przeobrażeń. Tylko ludzie słabi załamują się pod wpływem trudności, które zawsze mogą wystąpić, gdy dokonuje się rzeczy wielkich.

V Plenum KC PZPR to lekcja edukacji narodowej. To jednocześnie apel do społeczeństwa: co ty, co ja, co my potrafimy zrobić, aby cel nakreślony wczoraj stał się faktem dokonanym jutro.

Można długo wyliczać nasze bezsprzeczne sukcesy w okresie ostatniego sześciolecia. Gdyby nie one, nasze codzienne życie przebiegałoby zupełnie inaczej, a pozycja Polski na arenie międzynarodowej, we wspólnocie państw socjalistycznych nie liczyłaby się tak, jak liczy obecnie. O tych sukcesach niekiedy zapominamy, bowiem ciągle wydaje się nam, że są one oczywiste. Niestety, manna z nieba nie spada, a czasami nie spada nawet zwykły deszcz, który tak jest potrzebny do prawidłowej realizacji planu żywnościowego.

Szczególnie niecierpliwi są ludzie młodzi, którzy tylko z opowiadań starszych lub z filmów (jakże nielicznych) albo książek poznają gorycz dwudziestoletniej stagnacji międzywojennej Polski. Jaki byłby los najmłodszego pokolenia, gdyby w mijającym sześcioleciu nie stworzono nowych miejsc pracy dla blisko trzech milionów ludzi? Ładnie to się mówi „miejsce pracy", ale ile trzeba zainwestować w budowę fabryki, jak trzeba wyposażyć szkołę, uczelnię, aby kwalifikacje młodych wykorzystać z pełnym pożytkiem dla społeczeństwa? Oczywiście ten ogólnonarodowy wysiłek będzie procentować, ale na to potrzeba po prostu czasu!

Rozbudowaliśmy przemysł surowcowy i przetwórczy, położyliśmy duży nacisk na rozwój metalurgii. Uruchomienie pierwszego pieca w hucie „Katowice", które nastąpiło właśnie w dniu rozpoczęcia obrad V Plenum KC, to wydarzenie, którego nie sposób przecenić. Fakt, że ostatnio przeznaczaliśmy blisko miliard dolarów rocznie na import stali, tak potrzebnej dla naszej gospodarki, musiał ujemnie odbijać się na całokształcie naszego bilansu płatniczego. Teraz sytuacja wyraźnie zmieni się na korzyść.

Modernizacja przemysłu maszynowego, lekkiego i spożywczego, instalowanie nowoczesnych urządzeń też wymagało pewnych wyrzeczeń. Na przemysł spożywczy wydatkowaliśmy w ciągu pięciu lat więcej niż w całym powojennym ćwierćwieczu! Osiągnięcie bez precedensu.

A weźmy transport — tak newralgiczny, tak potrzebny i ciągle w przeszłości zaniedbywany. Transport kolejowy i transport drogowy. Mamy jeszcze wiele powodów do narzekań, ale w ciągu kilku lat nie można zrobić wszystkiego. Kiedy jednak jedzie się samochodem drogą szybkiego ruchu z Warszawy do Katowic, docenia się zakres podjętych prac i dostrzega konieczność dalszych tego typu przedsięwzięć.

Dynamiczna polityka inwestycyjna to podstawowa dźwignia postępu społecznego i gospodarczego, choć — jak podkreślił Edward Gierek — pełne wyniki tej polityki ujawnią się dopiero w najbliższych latach. Dlatego też kolejny plan pięcioletni traktujemy jako wyraz ciągłości społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. I nie może być inaczej.

Na tym tle osobnego potraktowania wymagają wysiłki, mające na celu łagodzenie i rozwiązywanie nabrzmiałych problemów społecznych. Przede wszystkim podniesione zostały płace wszystkich zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, a w pierwszej kolejności — najniżej uposażonym. Podwyżce uległy stypendia studenckie, polepszyła się sytuacja materialna kombatantów, emerytów i rencistów, zrównane zostały uprawnienia socjalne pracowników umysłowych i fizycznych, ludność wiejska otrzymała bezpłatną opiekę lekarską. Cena podstawowych artykułów żywnościowych jest ta sama, co przed grudniem 1970 roku. Jest to korzystne z punktu widzenia społecznego, ale bardzo trudne dla gospodarki w swych ekonomicznych konsekwencjach.

Zniesione też zostały obowiązkowe dostawy wsi. Niestety, rolnictwo ciągle stanowi naszą piętę achillesową. Złagodziliśmy trudności, ale jesteśmy dopiero w połowie drogi. Niepomyślne dla rozwoju produkcji rolnej warunki klimatyczne wpłynęły hamująco na produkcję zbóż i pasz, pociągnęły za sobą spadek hodowli w gospodarstwach chłopskich. Jeśli pogłowie trzody chlewnej zmniejszyło się o trzy miliony sztuk, nie może to nie rzutować na zaopatrzenie rynku. A import jest w tym względzie szczególnie kosztowny: zboża, pasze, mięso, smalec sprowadzane z zagranicy, pochłonął w roku gospodarczym 1976/1977 blisko półtora miliarda dolarów.

Deszczowego czy zbyt suchego lata nie można przewidzieć, a zwłaszcza nie można zaplanować kolejno następujących po sobie wybryków natury. Podobnie nie sposób uwzględnić tak wielkich wahań na rynkach kapitalistycznych. Nie żyjemy w próżni, prowadzimy gospodarkę otwartą i zdajemy sobie sprawę, że gdybyśmy nie byli tak powiązani z rynkami RWPG nasze trudności byłyby daleko większe. Niemniej kryzys gospodarczy na Zachodzie musiał wpłynąć na sytuację w kraju: ceny niektórych surowców i artykułów, które musimy sprowadzać z Zachodu poszły bardziej w górę niż ceny surowców i towarów, które eksportujemy.

Są jeszcze inne problemy, które powodują istotne trudności. Jest tajemnicą poliszynela, że niektóre zakłady, wyposażone w nowoczesne maszyny i urządzenia, nie dostarczają najlepszej produkcji, zwłaszcza tej przeznaczonej na rynek i na eksport. Na łamach „Trybuny Ludu" znajdujemy telegramy, które redakcja kieruje do dyrekcji przedsiębiorstw, pozostających w tyle. Tłumaczenie się trudnościami obiektywnymi, niedoświadczoną załogą, poziomem organizacji pracy na dłuższą metę jest nie do przyjęcia. Polska to nasze wspólne dobro. Jej osiągnięcia to suma osiągnięć nas wszystkich. Obciążanie winą kooperantów, zwalanie odpowiedzialności na innych — na dole, czy na górze — biadolenie doprowadza do tworzenia błędnego koła. Zbyt często jeszcze potrafimy dokonywać cudów improwizacji, albo pracować zrywami. Bywają też wypadki, że rozmieniamy się na drobne, lub też partykularyzm bierze górę nad dobrem ogólnonarodowym, oszukujemy się wzajemnie i pod płaszczykiem remontu wyciągamy z kasy państwowej sumy, które można by spożytkować bardziej racjonalnie. Miejscowe ambicyjki — zdarza się — bywają zwykłym marnotrawstwem. A na to po prostu nas nie stać.

O tych wszystkich sprawach bardzo sugestywnie mówił I Sekretarz KC PZPR na V Plenum KC. Partia, która wzięła na swe barki odpowiedzialność za losy kraju, bez ogródek przedstawia narodowi trudności. Po to, aby lepiej je przezwyciężać, aby zmobilizować wszystkie siły do skutecznego uporania się z nimi.

Trudności nie podważają naszych osiągnięć, nie deformują słusznego kierunku i rezultatów naszej strategii rozwojowej. Im szybciej je przezwyciężymy, tym szybciej pójdziemy naprzód. Oczywiście wymaga to współdziałania całego społeczeństwa, pełnego wykorzystania istniejącego potencjału, doskonalenia systemu funkcjonowania gospodarki na każdym szczeblu i — przede wszystkim — myślenia kategoriami całego państwa, co stanowi cechę współczesnego patriotyzmu polskiego.

Teraz przyszedł czas na pewne przegrupowania w naszej gospodarce. Musimy lepiej dyskontować potencjał stworzony, bądź rozbudowany w ostatnich latach. Kraj nasz stał się krajem bardziej rozwiniętym, mamy lepsze, w pełni wykwalifikowane, kadry. Jesteśmy w stanie doprowadzić do równowagi ekonomicznej, do równowagi rynkowej. Dokonujemy pewnego manewru, który jest możliwy właśnie dlatego, że — mówiąc obrazowo — ruszyła huta „Katowice", że rozbudował się Port Północny, że, ujmując statystycznie, co kilka dni przekazujemy do użytku nowy zakład przemysłowy. Wielki potencjał wytwórczy pozwala nam dziś planować dalszy rozwój kraju i zapewnić poprawę warunków życia całego narodu przy niższym niż w poprzednich latach tempie wzrostu inwestycji. Inaczej mówiąc — przy zmniejszeniu obciążenia dochodu narodowego inwestycjami. Mamy pełne warunki ku temu, aby zwiększyć nakłady na rozwój tzw. grupy „B", na to, co służy szeroko rozumianej konsumpcji.

A więc punkt ciężkości przesuwamy na zadania związane z wydatnym zwiększaniem podaży towarów rynkowych i usług, poprawę wyżywienia narodu i rozwój budownictwa mieszkaniowego. Są to trzy główne priorytety polityki gospodarczej 1977 roku i całego pięciolecia.

Mówiąc o tych trzech priorytetach Prezes Rady Ministrów przytoczył charakterystyczne liczby. W poprzednim pięcioleciu na te trzy dziedziny wydaliśmy 900 miliardów złotych, a w obecnym pięcioleciu możemy już przeznaczyć około 1 biliona 450 miliardów złotych.

Teraz trochę konkretnych danych na temat czekających nas zadań.

Rynek i usługi. W latach 1971—1975 wielkość nakładów przeznaczonych na rozwój zdolności produkcyjnych w tej dziedzinie wyniosła 280 mld zł, natomiast w obecnym pięcioleciu powinna osiągnąć 400 mld zł. Produkcja i podaż towarów rynkowych i usług będą rosły szybciej niż siła nabywcza ludności. W latach 1976—1980 dostawy towarów rynkowych wzrosną o około 60 proc., a podaż usług o około 70 proc. przy planowanym wzroście pieniężnych dochodów ludności o około 44 proc. Zasadnicze znaczenie dla rozwoju usług będą miały udogodnienia dla rzemiosła. Podwyższenie granicy dochodu wolnego od opodatkowania z 12 tys. zł do 72 tys. zł rocznie plus 24 tys. zł na współmałżonka i o dalsze 12 tys. zł na każde dziecko i innych członków rodziny, pozostających na utrzymaniu podatnika, a ponadto złagodzenie progresji podatkowej to działanie, które pozwala planować wzrost usług o prawie 70 proc.

Wyżywienie narodu. Niedobór płodów rolnych i produkcji zwierzęcej w latach 1974—1976 szacuje się na 90 mld zł. Zakłada się przyrost produkcji roślinnej w latach 1976—1980 o 20—23 proc. W 1980 r. powinniśmy w stosunku do 1975 r. zwiększyć produkcję żywca o 14 proc., a mleka o ok. 16,5 proc. Podstawowym zadaniem lat 1977—1980 jest odbudowa, a następnie zwiększenie pogłowia bydła i trzody chlewnej. 100 wielkich szklarni o powierzchni ponad trzykrotnie większej niż w minionym pięcioleciu zapewni wzrost produkcji warzyw i owoców. Rolnictwo otrzyma w latach 1976—1980 330 tys. ciągników, tj. o 141 tys. więcej niż w minionym pięcioleciu. Kombainami będzie się zbierać w 1980 r. 65 proc. zbóż (ub. r. — 21 proc.) i 40 proc. ziemniaków (ub. r. — 5 proc.) oraz 90 proc. buraków (ub. r. — 25 proc.). Zużycie nawozów mineralnych wyniesie w czystym składniku 250 kg średnio na 1 hektar (ub. r. — 182 kg). Wieś otrzyma więcej cementu i innych materiałów budowlanych.

Budownictwo mieszkaniowe. Nakłady inwestycyjne na budownictwo mieszkaniowe i na zbrojenie terenów oraz inne potrzeby gospodarki komunalnej wzrosną z 413 mld zł w latach 1971—1975 do 606 mld zł w bieżącym pięcioleciu. Do roku 1980 oddamy do użytku co najmniej 1 mln 575 tys. mieszkań, czyli o 50 tys. więcej niż założono w ustaleniach VII Zjazdu PZPR. W porównaniu z ubiegłym pięcioleciem będzie to wzrost o 450 tys. mieszkań. W sumie w dziesięcioleciu 1971—1980 ok. 9 milionów Polaków zamieszka w domach, które zostały zbudowane w obecnej dekadzie.

Zwiększając nakłady na rozwój tzw. grupy „B" nie będziemy jednak zaniedbywać rozbudowy takich działów grupy „A", jak górnictwo, hutnictwo, przemysł chemiczny, drzewno-papierniczy. Inwestycje kolejowe, drogowe, portowe, a także rozszerzanie łączności telefonicznej, radiofonii i telewizji pozwolą odrobić opóźnienia z poprzednich lat.

* * *

Mamy jasny program działania na najbliższe lata. Tylko od nas samych zależy, jak będzie on realizowany. Wytrwałość w działaniu, wysoki poziom dyscypliny, świadomość istoty procesów zachodzących we współczesnym świecie powinny nam towarzyszyć na co dzień.

Myślenie kategoriami państwa, przeciwstawianie się zaściankowości, prywacie, twórcze działanie, wyszukiwanie rezerw, podnoszenie odpowiedzialności, walka z marnotrawstwem, oszczędność surowców, energii, stały wzrost wydajności pracy — wszystko to jest nam, jak nigdy, potrzebne, jeśli nie chcemy zostać w tyle, jeśli pragniemy znajdować się w czołówce światowej.

Polska to my — mówiła kiedyś nasza szlachta. Polska to my — twierdzimy dzisiaj wszyscy. Słowa jednak nie wystarczą. Za słowami muszą iść czyny.

Jutro będzie za późno

Dokończenie ze str. 1

pewien chłop, mający kilka córek, w tym tylko jedną przystojną. Starającemu się i jego rodzicom prezentował najładniejszą, a potem do kościoła wysyłał tę, którą sam wybrał. Długi a gęsty welon sprawiał, że pan młody dopiero po ślubie przekonywał się, iż ma zupełnie inną żonę niż sobie to wyobrażał. A ponieważ w tych czasach rozwód na wsi był powszechnie potępiany, tak sklecone małżeństwo jakoś trwało.

Oto jedna z ciekawostek, odkrytych niedawno przez grupę etnografów lubelskich, penetrujących już po raz drugi obszar przyszłego Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Oczywiście nie chodziło tylko o wynajdywanie ciekawostek, to raczej „produkt uboczny". Celem tych penetracji było zapoznanie się i utrwalenie — na piśmie, taśmie magnetofonowej, fotografii czy rysunku — tego wszystkiego, co jeszcze ocalało z oryginalnej kultury ludowej. Dziewiętnaścioro specjalistów z Muzeum Okręgowego, Muzeum Wsi Lubelskiej, Towarzystwa Ludoznawczego (inicjatora całej akcji), a nawet Filharmonii Lubelskiej, zajmowało się obrzędami rodzinnymi, wiedzą ludową, wnętrzarstwem, kowalstwem, obróbką drewna, budownictwem, rolnictwem, bartnictwem, muzyką itd. Interesowano się zarówno tym, co przetrwało do dzisiaj, jak tym co już zaginęło, a ostało się jeszcze w pamięci najstarszych mieszkańców. Przy okazji zresztą odnaleziono oryginały tabel likwidacyjnych podziału gruntów z roku 1864, a nawet mapę rozdziału ziemi z ukazu carskiego z roku 1846.

Dotychczasowe badania wykazały — będą one kontynuowane w latach następnych — że szczególnie w ostatnich 20 latach nastąpiły na tym terenie głębokie przemiany kulturowe. Przede wszystkim jednak w dziedzinie kultury materialnej. Nie wyrabia się już we własnym zakresie odzieży z lnu czy konopi, zastąpiła ją odzież fabryczna, w związku z czym prawie zanikła uprawa obu roślin. Zaniknęło zupełnie bednarstwo, tu i ówdzie ostały się resztki cieśli, stolarzy czy kołodziejów, nawet kowal należy już do rzadkości — wieś korzysta z wyrobów fabrycznych czy usług jednostek uspołecznionych. Coraz mniej starych, drewnianych często zdobionych domów. Dziś buduje się z cegły, pustaków, prefabrykatów. Chociaż zdarza się, że w nowych domach kuchnie urządza się po staremu, a pokoje z nowymi meblami służą tylko do reprezentacji lub mają być świadectwem zamożności.

Zanika również tradycyjne przywiązanie rolnika do ziemi. Wszyscy badani zdawali sobie sprawę, że przyszłość rolnictwa leży w uspołecznieniu własności, tylko jeden rolnik żałował, że ze względu na wiek przekazał ziemię za rentę. Młodzi generalnie uciekają ze wsi. Inaczej jest tylko w Łańcuchowie, gdzie młodzi od kilku lat zaczęli gospodarować nowocześnie, specjalizując się w takiej czy innej dziedzinie.

Natomiast dość dużo dawnych reliktów pozostało jeszcze w świadomości ludzkiej. Do wiary w różne zabobony czy przesądy nikt się, oczywiście, nie przyznawał, ale wielu dodawało — chodzi tu zwłaszcza o kobiety — że jednak lepiej nie kusić zła... Utrzymuje się np. przesąd, że nie należy siać gryki w okresie, gdy na niebie są równocześnie słońce i księżyc. Jeden z pytanych twierdził, iż w ten przesąd nie wierzy, ale gdy siał grykę w tym czasie, ani razu mu się nie udała. W innej wsi do niedawna żył stary człowiek, który miał siłę odganiania gradu czy burzy — i wtedy „rzeczywiście" zjawiska te w owej wsi rzekomo nie występowały. Po jego śmierci występują zbyt często...

Bogaty materiał dokumentacyjny już dzisiaj przedstawia bardzo dużą wartość naukową i kulturoznawczą. I dobrze się stało, że znalazła się grupa entuzjastów, którzy to wszystko zbierają i opracowują, bo wkrótce wraz ze zmianami, jakie w życiu tamtych wsi spowoduje węgiel, było by już za późno. Ukłonić się tu trzeba również Wydziałowi Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie który całą sprawę wspierał nie tylko życzliwym słowem, ale i pieniędzmi.

Przy omawianiu tych spraw w Muzeum Okręgowym wypłynęła niby marginesowa, a przecież kontrowersyjna sprawa. Wraz z koniecznym importem górników, nawet tych pochodzących z Lubelszczyzny, dziś na teren Bogdanki, jutro całego przyszłego Lubelskiego Zagłębia Węglowego przenikać będą zjawiska kulturowe przeniesione z Górnego czy Dolnego Śląska. Dobrze to czy źle? Konkretnie zaś mówiono o strojach górniczych. Przeniesiono je żywcem, a czy nie można było wprowadzić do nich jakichś elementów z lokalnej kultury ludowej? Ale — jak ktoś zauważył — górnicy w Krakowskiem nie noszą przecież rogatywek kościuszkowskich. Ktoś inny dodał, że kapelusze z muszelkami naszych górali to przecież buble dawnych austro-węgierskich fabryk, których nie chciano przyjąć w Tyrolu...

(jd)

AGROMIASTO • KOMPROMISY • KOMPETENCJE

Z PREZYDENTEM BIAŁEJ PODLASKIEJ WŁODZIMIERZEM REMLEINEM rozmawia Maciej Podgórski

Fot. Zb. Jaśkiewicz

— Panie Prezydencie, pochodzi Pan z Poznania, piętnaście lat był Pan dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Terenowego w Szczecinie, firmy zatrudniającej siedem tysięcy osób, dającej produkcję roczną wartości półtora miliarda złotych. Urząd prezydenta Białej Podlaskiej objął Pan 1 września 1975 roku. Rozmawialiśmy o tym wszystkim przeszło rok temu, kiedy pański prezydencki gabinet nie był jeszcze tak elegancki jak teraz.

— Owszem.

— Nie zapytałem wówczas, ile pan stracił na pensji w związku ze zmianą stanowiska.

— Cztery tysiące złotych. No i co z tego?

— Wielka firma, duże miasto portowe. A tutaj małe miasto, raczej rolnicze, dopiero rodzące się do swych wojewódzkich powinności. Mogły powstać obawy, że się Pan na jakiś boczny tor wekshluje, i niby dlaczego ma się człowiek tak ustawiać?

— Proszę Pana, mnie klimat szczeciński rujnował zdrowie. Mówię bez przenośni. Rodzina żony mieszka w Białej, powstały tu pewne możliwości, więc z nich skorzystałem. Dobrowolna decyzja.

— A przysposobienie do nowej funkcji?

— Z problemami komunalno-ekonomicznymi wciąż się stykałem, gdyż moja firma szczecińska zbudowała kilkadziesiąt zakładów na terenie tamtego województwa.

— Wczoraj uczestniczył Pan w egzekutywie Komitetu Miejskiego PZPR, dotyczącej kwestii komunalnych. Zatem zróbmy tak: Pan wygłosi coś w rodzaju monologu prezydenta z perspektywy roku, a ja będę usiłował nie wtrącać pytań, chyba żebym nie wytrzymał...

— Biała Podlaska, jak na swoje trzydzieści cztery tysiące mieszkańców, jest miastem bardzo rozległym, a zarazem właściwie bez podstawowej infrastruktury komunalnej. Przeważa stara zabudowa, większość budynków to domki prywatne, drewniaki, przy których różnego rodzaju szopy, stodoły, chlewiki. Na 150 kilometrów ulic może z 50 km posiada nawierzchnię utwardzoną, reszta to drogi gruntowe, jesienią, zimą i wiosną rozmazane. Tak jest nawet w śródmieściu.

Stąd dla nas bardzo drażniącą sprawą staje się czystość miasta. W budowie nowych dróg plan przekroczyliśmy, z 10 kilometrów na 17 w tym roku. Ale założone uporządkowanie 20 głównych ciągów ulicznych nie wyszło. Wydałem ponad 600 decyzji, by obywatele zreperowali i pomalowali płoty oraz elewacje. Podporządkowali się w większości tylko formalnie. Niejeden coś tam maznął i spokój. „Tak mieszkałem od lat i ja tu nie będę nic zmieniał" — powiada.

Albo weźmy problem śmieci. Możemy dostarczyć do każdej posesji pojemnik, lecz wielu ludzi go nie przyjmuje, bo trzeba płacić 15 złotych dzierżawy miesięcznie plus za każdorazowy wywóz po 20 złotych. A jak się idzie rano do pracy, widzi się kupki śmieci na ulicy, bo oni nocą po cichutku sypią, najchętniej sąsiadowi pod chałupę. Ale żeby takich ukarać mandatem, trzeba ich przyłapać na gorącym uczynku. W każdym razie dwa tysiące osób mandaty w tym roku już zapłaciło.

Kolejna sprawa z czystością związana. Mamy jeszcze dużo gospodarstw rolnych w obrębie miasta, nawet w śródmieściu. Krowy gnają ulicami, świnki hodują w samym centrum. Program rozwoju miasta mówi o przeniesieniu wszystkich gospodarstw poza granice administracyjne Białej, za którymi ludzie w większości mają ziemię, a tu tylko zabudowania. Lecz to program na lata całe.

My tu żyjemy problemami, które w ogóle nie istnieją w dużym mieście wojewódzkim. Biała to dopiero agromiasto w powijakach.

— Panie Prezydencie, oczywiście nie wytrzymuję bez komentarza. Myślę, iż Podlasianie to ludzie dobrzy, serdeczni, gościnni, tylko jeszcze nie zrozumieli, że mają miasto wojewódzkie, że trzeba się niejako przestroić. Na pociechę słyszałem, iż tu niektóre czyny społeczne pięknie wychodzą. Ponadto widzę nowe bloki, nowe sklepy, rozpoczęte inwestycje. Ale rozumiem, że Pan chce przede wszystkim mówić o tym, co was boli.

— Tego, zdaje się, pan ode mnie oczekiwał od początku naszej rozmowy.

— Zgoda, kontynuujmy.

— Powiada pan: rozpoczęte inwestycje. Tak jest. Lecz każda decyzja o budowie nowego obiektu pociąga konieczność zbrojenia terenu w kanalizację, wodociąg, ciepło i tak dalej, bo mówiłem, że brak miastu podstawowej infrastruktury komunalnej. Tymczasem nie posiadamy własnych przedsiębiorstw robót inżynieryjnych i musimy korzystać z firm warszawskich, siedleckich czy lubelskich. I tutaj się, panie redaktorze, zaczyna cała epopeja!

Zbroją teren, rozkopują ulice, nie zostawiają przejść dla pieszych. Niech będzie, za wszystko trzeba płacić. Ale skończą robotę i nie myślą o zasypaniu wykopów, choć to przecie należy do ich obowiązków. W ogóle robią jak z łaski. I jeszcze mówią: „jak wy będziecie na nas naciskać, to my będziemy robić zgodnie z planem tylko". A jeżeli bialskopodlaskie przedsiębiorstwo budowlane przyspieszy nawet oddanie nowych mieszkań, to gdy tamci będą robić zgodnie z planem, wówczas na przykład ciepło nie zostanie podłączone do tych mieszkań równocześnie z ich oddaniem.

Oczywiście, za pozostawienie niezasypanych wykopów ja mogę ukarać „obce" przedsiębiorstwo, egzekwując kary umowne. Mogę wystąpić z wnioskiem do dyrektora, żeby zdjął kierownika budowy. Ale to załatwi sprawę jedynie w sensie incydentalnym. Tymczasem mnie zależy, żeby oni robili u nas dalsze zbrojenia, pod inne inwestycje. I tutaj trzeba powiedzieć, że system ekonomiczno-prawny przedsiębiorstw stwarza możliwości takich wybiegów, iż w zasadzie wykonania każdej roboty, a szczególnie budowlanej, można odmówić, udowadniając, że inwestor jej należycie nie przygotował! Toteż gdybym zaczął zbytnio „rozrabiać", musiałbym się pożegnać z usługami firm inżynieryjnych z Warszawy czy Lublina, a własnych Biała nie posiada.

Ostatecznie muszę iść na kompromisy, stwarzać przychylną atmosferę, politykować, aczkolwiek koliduje to z moimi najgłębszymi poglądami na te sprawy. Byłem bowiem jak najdalszy od politykowania w tej dziedzinie. Jest decyzja, jest limit, jest nadział, jest dokumentacja, wiadomo, że budowa weszła do pięciolatki, czyli przedsiębiorstwa wskazane muszą swoje zrobić w określonych terminach. Po prostu, zdecydowane i konsekwentne działanie wszystkich stron. Prawdę mówiąc, dopiero w Białej Podlaskiej nauczyłem się swoistego kunktatorstwa budowlanego, inwestycyjnego politykierstwa. Skoro nie można inaczej...

— Widzę, Panie Prezydencie, że znów muszę się wtrącić, by nie zapomnieć przynajmniej zapytać o dwie sprawy. Problem krajowy, czyli mieszkania. Specyfika lokalna, czyli budowa nowych ulic w dalszej perspektywie niż jeden rok urzędowania pańskiego tu taj.

— Rynek pracy w mieście jest dosyć chłonny. W tym jedynie roku przybyło nam cztery tysiące nowych mieszkańców, głównie ze wsi. Z poślizgu oczekuje na mieszkania około dwu tysięcy rodzin. W związku z modernizacją centrum trzeba będzie wyburzyć 900 mieszkań. Powiem krótko: w pięciolatce potrzeba nam około sześciu tysięcy mieszkań, a zbudujemy może około 2500. W Białej problem mieszkaniowy jest znacznie bardziej nabrzmiały niż w dużych miastach. Porządkowanie centrum musi się więc opóźnić.

Teraz drogi i ulice. W 75 roku wydano na ten cel 6 milionów złotych, w 76 wyda się około 17 milionów, na 77 planujemy 30 milionów. Powinniśmy rocznie budować około 20 kilometrów nowych dróg i ulic, ale na to nas nie stać, bo przecież wchodzą w grę także remonty istniejącej sieci, robienie nakładki asfaltowej i tak dalej. Sprawy niebagatelne dla komunikacji w mieście choćby. Obecnie zamknięcie jednej czy dwu ulic praktycznie uniemożliwia objazdy. Ale rozruszanie kwestii dróg i ulic w Białej jest na ogół tym, czym powinniśmy się chwalić. To nam wychodzi.

— Co jeszcze wam wychodzi?

— Modernizacja sieci handlowej, czyli remonty i łączenie małych sklepików, które pan w zeszłym roku skrytykował, w większe magazyny. Myślę, że to jest metoda na handel w warunkach takiego miasta, aby się ludziom lepiej kupowało.

— Trzeba mieć również co kupować.

— Zaopatrzenie miasta i kontakty z Warszawą w tym zakresie leżą w gestii Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej.

— Dlaczego nie w gestii Urzędu Miejskiego?

— ...

— Czy ruszyła budowa przetwórni owoców i warzyw w Białej, bo wiem, że miała ruszyć w tym roku.

— Nie ruszyła.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Pan przecież powinien koordynować wszystkie inwestycje w mieście.

— Ja też tak uważam.

— ?

— Województwo się dociera, miasto wojewódzkie się dociera, moje kompetencje prezydenckie się docierają, zrozumienie mojej roli się dociera... W każdym razie z samymi wojewodami współpracuje mi się pierwszorzędnie.

— Panie Prezydencie, czas kończyć, ponieważ coraz częściej poczynają między nami zalegać dziwne milczenia. Dziękuję za rozmowę.

Leszek Marek Jakób

* * *

Spleen. Zmoknięte drzewa.
W konarach wicher. Aż trzeszczy.
Tramwaje nie odchodzą. Piorun.
Zabrałem się do wierszy.
Cóż u licha – cóż znikło.
Została musztarda na planie.
Znajdę. Nie znajdę. Znajdę.
Martw się. W dołku ssanie.
Tętno. Wiadomo. Pogoda.
I ten kapiący kran. Zegar.
Mleko na schodach. Gazety.
Dzień. Kap-kap-kap. Przeklęta woda.

ŻALE

Postaw się człowiecze w swojej sytuacji
ale tak naprawdę
i spójrz
czy zrobiłeś coś więcej prócz długów
wobec własnych Marzeń
Twoje pole bitewne
takie wielkie
takie małe
pokonanych przeszkód tyle
co prawdy w innych za mało
i łam się dalej
bo przecież wierzysz w coś
na przykład Miłość
a i do niej masz pretensje
że nie taką posiadasz w Wyobraźni
– nigdy nie dokonanej
– wobec której dług nie spłacony
wciąż
postaw się człowiecze

ŚNIEŻNY SEN

Tak rączo tak rączo
mkną sanie
za nimi przed nimi
śnieżne malowanie
malowanie śnieżne
po sosnach i rozgłosach
spinkami wron skute
obrazy w czterech rogach
śnieżne malowanie –
konie mkną dzwoniąco
pomroczny las ziewa
kołysanką kojącą
szczęśliwy ślad – szczęśliwe
natrafienie –
tak rączo
tak rączo
mkną do nikąd sanie...

WZORY PATRIOTYZMU

SŁOWO O ANNIE PUSTOWÓJTOWNIE

Andrzej T. Filipek

DŁUGIE szeregi emigrantów opuszczały Polskę po roku 1863. Wśród nich była sławna kobieta adiutant — Anna Henryka Pustowojtówna. Była bodaj najsłynniejszą kobietą w powstaniu styczniowym, a to z powodu czynnego uczestnictwa w insurekcji. Trwale zapisała się w pamięci ludzkiej jako adiutantka, początkowo płk. Czachowskiego — dowódcy oddziału powstańczego na Lubelszczyźnie, a następnie dyktatora M. Langiewicza. To jej właśnie czeski kompozytor Svoboda poświęcił polkę „Biwak" i „Żałobny marsz za poległych wojowników polskich", dla niej i jej przyjaciół właściciel praskiej kawiarni zarezerwował stolik z bezpłatną konsumpcją.

Cieszyła się w owym czasie Pustowojtówna dużą, zasłużoną zresztą, popularnością. Na cześć Pustowojtówny urządzano manifestacje na Węgrzech, we Francji, a nawet w wyspiarskiej i flegmatycznej Anglii. W gazetach niemieckich drukowano przeprowadzane z nią wywiady. Apogeum jej popularności dosięgło szczytu, gdy zaczęto sprzedawać partreciki z jej wizerunkiem. Ale powoli zapomniano o bohaterskich Polakach. Zatarła się również postać Pustowojtówny. Dziś mało kto wie kim była, jeszcze mniej wiadomo o jej działalności w Lublinie i o tym, że walnie przyczyniła się do podniesienia nastrojów patriotycznych w tym mieście.

Anna Henryka Pustowojtówna urodziła się w 1838 roku. Ze strony ojca była Węgierką. Jej ojciec, wstępując za młodu do carskiej armii, zmienił nazwisko Pustay na Pustowojtow. Ożenił się z Polką Marią z Kossakowskich. Rodzice Anny mieszkali w Żytomierzu, natomiast ona razem z babką Brygidą z Rzewuskich Kossakowską wdową po powstańcu 1831 roku, w Lublinie. Anna była bardzo ładną dziewczyną, nic więc dziwnego, że miała liczne audytorium, kiedy siedząc na balkonie śpiewała surowo zakazane pieśni patriotyczne.

Zwracała na siebie powszechną uwagę nosząc na ulicy czerwoną rogatywkę, której używania zakazał Suchozanet, nowy namiestnik cara mianowany w miejsce chorego Gorczakowa. Wszędzie, gdzie się tylko pokazała w owym przybraniu głowy, budziła powszechny aplauz. W Lublinie nie odbyła się bez niej żadna manifestacja patriotyczna. Naczelnik wojenny miasta, gen. Chruszczew, nawiasem mówiąc prawy i uczciwy człowiek, stale ostrzegał rodzinę Anny, że córka generała rosyjskiego (ojciec Anny awansował do tego stopnia) nie postępuje właściwie biorąc udział w zakazanych przez władze imprezach. Na Pustowojtównie uwagi te nie robiły najmniejszego wrażenia, wprost przeciwnie, zapalały ją do dalszego działania na rzecz niepodległej Polski.

Apogeum jej wystąpień w Lublinie były obchody rocznicy powstania listopadowego w 1861 roku. Program przewidywał mszę i złożenie kwiatów u stóp pomnika Unii. Chruszczew dowiedział się o programie i skierował tam oddział wojska z zadaniem niedopuszczenia do manifestacji i strzelania w razie zbliżenia się do pomnika. Po mszy pochód, przy wtórze pieśni „Boże coś Polskę", posuwał się w stronę obelisku. Kiedy uczestnicy manifestacji zobaczyli wojsko, stanęli. Idąca na czele Pustowojtówna, ubrana w strój krakowski z wpleciionymi we włosy trójkolorowymi wstążkami, mimo gróźb dowodzącego oddziałem przedarła się przez kordon i złożyła kwiaty u stóp pomnika.

Gen. Chruszczew nie mógł puścić tego płazem. Złożył szczegółowy raport z wystąpień gen. Suchozanetowi, namiestnikowi Królestwa. Suchozanet kazał wywieźć Pustowojtównę do Moskwy i osadzić ją w klasztorze. Wysyłając raport, Chruszczew powiadomił o jego treści babkę Kossakowską. Rodzina miała więc czas na podjęcie kroków łagodzących wyrok Suchozaneta. Interweniowano u nowego namiestnika (Suchozanet został już odwołany) Lamberta. Złagodził on wyrok poprzednika i pozwolił na zamieszkanie Pustowojtównie w Żytomierzu z rodzicami, którzy zobowiązali się odsunąć córkę od wszelkiej zakazanej działalności.

Wiadomość o takim rozstrzygnięciu sprawy szybko obiegła Lublin. Zgotowano Annie gorące pożegnanie. Połowa Lublina zebrała się pod jej domem, by godnie uczcić wyjazd najpopularniejszej lublinianki. Pożegnanie przekształciło się w manifestację. Chruszczew zmuszony był do wyprowadzenia wojska z koszar. Cała droga Pustowojtówny do Żytomierza zamieniła się w pochód triumfalny. Wszędzie, gdzie tylko przejeżdżała, witały ją tłumy ludzi i obrzucały kwiatami jej powóz. Śpiewano przy tym pieśni patriotyczne. Jej przybycie do Żytomierza postawiło na nogi miejscową policję i pobudziło do działania miejscową ludność. Niemniej w tym czasie zamknął się w jej życiu pewien okres. Następny zaś miał się otworzyć w momencie wybuchu powstania styczniowego.

Nie jest moim zamiarem opisywanie jej udziału w powstaniu 1863 roku, w którym zapisała się złotymi zgłoskami. Chciałem tylko pokazać niewielki wycinek jej życia związany w tym czasie z Lublinem, naładowanym w owym okresie duchem patriotycznym, do czego przyczyniła się i Anna Henryka Pustowojtówna. Dobrze byłoby, gdyby pamięć o tej gorącej patriotce i czynnej bojowniczce o niepodległość Polski na trwałe zadomowiła się w Lublinie — mieście, które było początkiem jej rewolucyjnej drogi.

BRACIA UHLE I SKRZYPCE

Dokończenie ze str. 1

skrzypce braci Uhle do drugiego etapu konkursu, co poświadczono specjalnymi dyplomami. Na trzeci etap zabrakło już co prawda walorów, ale wiedzieć trzeba, że przedstawione w Poznaniu skrzypce puławianie wykonali jako jedne z pierwszych w swej karierze lutniczej. A poza tym ich autorzy zajmowali się na co dzień czymś zupełnie innym, są inżynierami w puławskich Zakładach Azotowych: Edward prowadzi pracownię modelową biura projektów, a Jerzy kieruje działem dokumentacji inwestycyjnej. Skąd zatem skrzypce?

Senior Uhle montował „kryształki", a synowie, odziedziczywszy po nim smykałkę do majsterkowania, już w szkole podstawowej dali się poznać jako spece od robót ręcznych, traktowanych przed wojną bardzo serio. Wtedy właśnie w bibliotecze domowej znaleźli jakiś elementarny podręcznik budowy skrzypiec. W jednorodzinnym domku przy ulicy Skowieszyńskiej w Puławach pojawił się duch Stradivariusa, ale szybko przegnała go stamtąd wojna. A po wyzwoleniu bracia Uhle dokończyli rozpoczęte podczas okupacji liceum mechaniczne w Lublinie, aby wstąpić do znanej szkoły technicznej im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Dyplom inżynierów mechaników — już z nagłówkiem Politechniki Warszawskiej — otrzymali w 1952 roku i z nakazem pracy w kieszeniach pojawili się w radomskich Zakładach Metalowych im. Waltera. Mieli 25 i 26 lat. Ożenili się z puławiankami, no i zaczęli budować życie rodzinne, ustawiać się jakoś w świecie. W Radomiu przebywali lat dwanaście, o skrzypcach raczej nie wspominając. Aż tu nagle Jerzy Uhle, młodszy z braci, przestał towarzyszyć małżonce w spacerach.

— A kiedy wnosiłam pretensje, odpowiadał, że nie przesiaduje przecież w knajpach, choć ostatecznie mógłby.

Rzeczywiście, Jerzy Uhle przesiadywał w kuchni mieszkania o powierzchni około 20 metrów kwadratowych, które zajmował wraz z żoną i dwojgiem dzieci. I w tym to pomieszczeniu dreptał po pięć godzin niedzielnych wokół pralki. No, nie prał bielizny, ale po leżącej na pralce płycie szklanej, pokrytej proszkiem karborundowym, przesuwał drugą płytę: do siebie, od siebie, pół kroku w prawo z jednoczesnym skrętem tafli w lewo. Po 30 godzinach otrzymał to, co chciał: gładziutkie lustro sferyczne. A potem jeszcze, dla idealnej gładkości, tienkiem cezu to swoje dzieło przetarł.

— W końcu teleskop był gotów. Powiększa 150 razy, umożliwia bardzo przyjemną obserwację Księżyca, szczególnie w kwadrze, i księżyców Jowisza... Na takiej samej zasadzie oparty jest amerykański teleskop w Mont Palomar, tyle że większy — informuje były członek Towarzystwa Miłośników Astronomii, pochylając w kierunku dziennikarza dwumetrową na oko tubę z lustrem, które oblicze nachylonego nad nim obserwatora przekształca w egzotyczny pejzaż.

W 1963 roku wraz z teleskopem, żoną i dziećmi Jerzy Uhle powrócił do Puław, gdzie rozpoczynała się budowa Zakładów Azotowych. Brat Edward postąpił podobnie. Dlaczego wrócili do rodzinnego miasta?

— W Radomiu nie było perspektyw na otrzymanie lepszego mieszkania, a poza tym żony nalegały.

W Puławach okazało się, że ojciec braci Uhle ma dobrą pamięć do spraw dawno minionych.

— Kiedy wy wreszcie za skrzypce się weźmiecie? — powtarzał, nękał, nachodził inżynierów, którzy mieli przecież dziesiątki innych spraw na głowie. I oto dorośli, dzieciaci i żonaci ludzie, ocierający się o czterdziestkę, podjęli temat „skrzypce".

A skrzypce były wówczas tak popularne w Puławach, jak powiedzmy skok w dal z miejsca. Więc Jerzy Uhle napisał do Ministerstwa Kultury i Sztuki, prosząc o informacje, gdzie można na przykład zdobyć odpowiednie drewno na budowę instrumentu. Resort, o dziwo odpowiedział szybko i wyczerpująco. Więc w 1963 roku Jerzy Uhle wyprawił się, jako osoba całkiem prywatna do poleconych przez ministerstwo Zakładów Drzewnych Przemysłu Muzycznego w Jordanowie gdzieś koło Nowego Targu. Dyrektor przedsiębiorstwa przekazał go następnie pod opiekę starego, doświadczonego pracownika, Edwarda Buczka, który wiedział, co to takiego skrzypce mistrzowskie.

— Piękny materiał, co?! — komentował Buczek podczas zwiedzania zakładu przez amatora sztuki lutniczej. — Cudowny rysunek, wąskie słoje. To drewno powinno trafić w czułe ręce, a idzie do fabryki w Lubiniu, gdzie tłoczą je na gorąco w prasach. Ale czy tak się robi dobre skrzypce?!

Z Jordanowa wracał Jerzy Uhle z klinami drewna. Świeży to był materiał, a więc nie najlepszy do osiągnięcia mistrzowskiego celu, który zapewnia drewno schnące w naturalnych warunkach 15 lat, choćby tyle. W dawnych czasach wykonywano skrzypce z materiału, który s e z o n o w a ł 1 200 lat.

— Ale ja czułem się, jakbym z Jordanowa otrzymał złoto.

Zabrali się bracia do roboty: żmudnej, precyzyjnej, czasochłonnej, wymagającej wiedzy i uczucia. Pojęli w końcu, od czego zależy jakość skrzypiec. Tak zatem trzeba mieć odpowiednie drewno: lekkie, dźwięczne, o pięknym rysunku. Górną płytę wykonuje się tylko ze świerka lub jodły, spodnią

Kamena str. 4

CHEŁMSKIE SPOTKANIE MŁODYCH

Z DUŻYM zainteresowaniem przysłuchiwałem się dwudniowej debacie członków Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej województwa chełmskiego, a także ich gości z Zamojszczyzny oraz delegacji komsomolców z obwodu wołyńskiego. Zarówno referenci polscy i radzieccy, jak i dyskutanci z obu stron ześrodkowali swoją uwagę na problemie realizacji przez ZSMP w Chełmskiem i Zamojskiem postanowień VII Zjazdu PZPR oraz przez Komsomoł w Łucku uchwał XXV Zjazdu KPZR. Młodzi z tego pogranicznego i zaprzyjaźnionego obszaru mają do zanotowania dużo wartościowych osiągnięć, zarówno w interesującej nas tu dziedzinie ideologicznej, jak też zawodowej, gospodarczej i organizacyjnej. Chwilami te trzy ostatnie zagadnienia nawet dominowały, powodowały zbytnią sprawozdawczość, nie mogły jednak przesłonić istoty konferencji w Chełmie, a szczególnie warstwy ideologicznego, politycznego i patriotycznego wychowania, dopełnionego o pogłębione pojmowanie internacjonalizmu.

Zresztą odbycie wspólnej sesji młodzieży polskiej i radzieckiej, od lat już ze sobą współpracującej, nie różniące się punkty widzenia referentów i dyskutantów z Łucka, Chełma i Zamościa na problematykę ideologiczną, polityczną oraz metody wychowawcze i organizacyjne wśród młodzieży obu Związków, sposoby oddziaływania na rówieśników nie zorganizowanych — są najlepszą rękojmią tego, że chodzi tu nie tylko o teorię.

Nade wszystko odczuwało się bezpośrednią bliskość tych obrad z zakończoną niedawno partyjno-państwową wizytą delegacji polskiej w ZSRR. Korespondowały z nią szczególnie te wypowiedzi i postanowienia chełmskiej konferencji ideologicznej młodych, które nawiązywały do oświadczenia przywódców radzieckich i polskich w sprawie dalszego rozszerzenia współpracy przygranicznej narodów radzieckich i polskiego, a także wzmożenia wymiany turystycznej i kulturalnej po obu stronach Bugu. Podobne konferencje, z udziałem młodzieży z Chełmskiego i Zamojskiego, przygotowane też będą w bliskiej przyszłości przez organizację komsomolską na Wołyniu.

TJ

GRZYBY

Małgorzata Sawicka

Prof. Jerzy Trojanowski

BYŁO to najosobliwsze muzeum jakie ostatnio widziałam. Oczywiście, żadne tam eksponaty wychuchane przez konserwatorów, żadnych gablot i nastroju świątyni sztuki. Po prostu lodówka wstawiona do laboratorium, a wewnątrz, w szklanych zlewkach, po kilka próbówek zatkniętych korkiem z gazy. To muzeum szczepów grzybowych w Zakładzie Biochemii UMCS w Lublinie. Mgr Bożena Sadowska dogląda przybytku, zaszczepia na skosach agarowych podgrzybki, uskwiaki, huby i inne grzyby, które wyhodowane zostały wśród zlewek, odczynników chemicznych w laboratoriach całego świata.

W pokoju profesora Jerzego Trojanowskiego obwąchuję suszone kawałki grzyba, wyjęte ze szklanego pojemnika z napisem „inonotus obliguus". No i pachnie mi to borowikiem, choć suszone strzępy nie mają ani kapelusza, ani korzenia, jak grzyb prawdziwy, zebrany w dębowym zagajniku. Oglądam jeszcze zamarynowanego w formalinie podgrzybka zerwanego w lesie i jego krewniaka z laboratorium, takie tam miękkie jak pleśni gwiazdki i kuleczki, które po odsączeniu i wysuszeniu można pomylić z prawdziwym prawdziwkiem.

Kiedy tuż po wojnie profesor Trojanowski rozpoczął badania nad zachowaniem się substancji fenolowych w glebie, nie przypuszczał, że w niespełna trzydzieści lat później uznawany będzie za twórcę polskiej szkoły rozkładu ligniny. Jeszcze w książce Stanisława Prosińskiego „Chemia ligniny" wydanej w 1969 wyczytałam na str. 317: „Zagadnienie właściwego wykorzystania ligniny staje się ważnym problemem nie tylko chemii drewna, ale i technologii. Przemysł celulozowy i przemysł hydrolizy drewna czekają na racjonalne zagospodarowanie tego, poważnego ilościowo, składnika drewna, traktowanego obecnie jako uciążliwy produkt uboczny z uwagi np. na ścieki w przemyśle celulozowo-papierniczym".

Tak było jeszcze 8 lat temu.

Lubelskim biochemikom udało się wyhodować grzyb o tak perwersyjnym guście, że pozbawia on jadu trujące odpady powstałe w wyniku przeróbki drewna na papier i jeszcze dodatkowo wykorzystuje je jako pożywkę do wzrostu wysokobiałkowej masy. Jeden taki grzyb zajmuje się więc i ochroną środowiska i produkcją paszy. Dwoma problemami, które usiłuje rozwiązać nasza cywilizacja. Właściwą rangę tym sprawom nadała na razie Finlandia, tam bowiem stanęła pierwsza w Europie fabryka białka celulozowego, wytwarzanego na odpadach.

Próby wprowadzenia do produkcji odkryć lubelskich biochemików mają zasięg o wiele skromniejszy, choć grzyby opuściły polskie laboratoria już 5 lat temu. Wtedy właśnie UMCS nawiązał kontakt z Niedomickimi Zakładami Celulozy — trucicielem Dunajca. Stanął tam fermentor, w którym pod okiem inż. Szczepańskiego przetwarza się już na skalę półtechniczną, odpady celulozowe na biomasę grzybową. Współpraca z niedomicką celulozą, wypróbowana przez kilka lat wspólnych doświadczeń, rozwijałaby się jeszcze raźniej i byłaby owocniejsza, bo inż. Szczepański to entuzjasta gotów wiele zaryzykować, ale Zjednoczenie Przemysłu Drzewnego przyhamowało współpracę najskuteczniejszym hamulcem: przepisami. Wynika z nich bowiem, że nakłady inwestycyjne na taki np. fermentor winny się w dwa, najdalej trzy lata zamortyzować. Amortyzację maszyny do robienia gwoździ przewidzieć łatwo, zwłaszcza że niespodzianki w produkcji są prawie wykluczone. A za amortyzację fermentora nikt nie zaręczy.

Na razie Niedomice są jedyną bazą doświadczalną, służącą za pomost między laboratorium i halą produkcyjną. Ale ostatnio stara się profesor Trojanowski o rozszerzenie tej współpracy, zwłaszcza że spółka dr Leonowicz i dr Wasilewska opatentowała sposób na zagospodarowanie odpadów przemysłu spożywczego. Otóż okazało się, że niektóre z grzybów lubią koktajle z serwatki i wywaru gorzelniczego. Na takiej pożywce grzyb chętnie i szybko gromadzi białko. Tymi sprawami szczególnie żywo zainteresowało się województwo szczecińskie. Tam właśnie w wielkich kombinatach rolniczych można znaleźć oba komponenty koktajlu, wzbogacić go za pośrednictwem grzybka w białko, a potem przetransportować do obory i dać w postaci płynnej na przykład trzodzie chlewnej. Specjaliści od spraw rolnych obliczyli nawet, jakie przyniosłoby to oszczędności. Otóż na odpadach przemysłu spożywczego z woj. szczecińskiego można by rocznie wyprodukować 6 tys. kwintali białka surowego, co jakościowo odpowiada 40 tys. kwintali zboża paszowego, które w tej chwili otrzymujemy z importu. Poza tym przetwarzając odpady na miejscu, można byłoby uniknąć zbędnych korowodów z transportem pożywek, z odsączaniem i suszeniem biomasy grzybowej.

I choć to jeszcze dość odległa przyszłość, żeby przy każdym kombinacie rolniczym pracował fermentor, pomysł lubelskich biochemików nabiera realnych kształtów. W początkach października tego roku przyjechał do Lublina dyrektor kombinatu rolniczego z Dobrej Szczecińskiej. Jest on pionierem, gotowym podjąć ryzyko i kupić fermentor. Patenty, które przez światowe autorytety zostały uznane za wydarzenie w biochemii, z trudem torują sobie drogę do szerszego zastosowania; nowe budzi nieufność. Na szczęście są ludzie, którzy wiedzą, że bez ryzyka nie ma postępu. I chyba na nich także liczy Polska Akademia Nauk dotująca hojnie „prowincję". Chociaż cóż w tym dziwnego, skoro w badaniach nad hodowlą grzybów liczą się biochemicy z Helsinek, Brunszwiku i Lublina.

— z klonu lub jawora. Wiele zależy od ukształtowania sklepienia płyt i wysokości boczków. Belka basowa, umocowana pod górną płytą, dokładnie pod struną „g" także wpływa na dźwięk instrumentu. Wielkość „efów" czyli otworów rezonansowych również trzeba precyzyjnie ustalić. Najlepszy podstawek pod struny uzyskuje się z platanu, choć stosuje się również jawor i klon. Szczególnie ważne jest ustawienie tzw. duszy, tkwiącej w środku skrzypiec. Liczy się nawet gatunek lakieru, którym pokrywa się powierzchnię instrumentu. Najlepszy jest taki, który składa się z naturalnych żywic i olei.

— Ale znajomość techniki i technologii budowy skrzypiec nie wystarcza, bo w gruncie rzeczy nie obowiązują tutaj uniwersalne i sztywne reguły postępowania. Wiele zależy od intuicji — twierdzą bracia Uhle, którzy na wyprodukowanie jednego instrumentu poświęcają 200—300 godzin. — Skrzypce muszą nie tylko urzekać pięknem głosu, ale także swoim wyglądem i doskonałością wykonania. Na międzynarodowych konkursach lutniczych oglądane są przy pomocy lupy: jak wpuszczono w górną płytę trzypasmową żyłkę, drewnianą, jak wykończono żądełko na krawędzi... Niedopuszczalne jest zaobserwowanie gołym okiem warstwy kleju, która spaja poszczególne części.

Wykonanie skrzypiec mistrzowskich to zarazem sprawa zdobycia dobrych narzędzi. Tych jednak nie ma na rynku. Więc bracia Uhle sami zaczęli je projektować i wytwarzać, dochodząc nawet do całkowicie pionierskich rozwiązań, na przykład w „sferze duszy", a więc elementu od którego w poważnym stopniu zależy barwa tonu skrzypiec. Od setek lat ustawiano duszę przy pomocy odpowiednio wygiętej blaszki, wprowadzanej do wnętrza instrumentu przez „efy" i wbijanej w drewienko. Jest to operacja szalenie kłopotliwa, zmuszająca lutnika do kilkakrotnego nierzadko przekłuwania owej duszy. Przyrząd braci Uhle nie dość, że likwiduje ten mankament, to jeszcze zapewnia łatwość i skuteczność manipulacji. Wszystko wskazuje, że jest to rozwiązanie unikalne w skali światowej. Więc może warto by je opatentować

— Nie stać nas na to. Zapotrzebowanie na tego rodzaju przyrząd nie byłoby tak duże, aby zrekompensować koszty utrzymania patentu choćby przez pierwsze pięć lat, wynoszące bodaj 60 tysięcy złotych. Wynalazkiem interesowaliby się przede wszystkim lutnicy, może jakaś grupa muzyków, a są to przecież środowiska dość nieliczne.

W 1968 roku Edward i Jerzy Uhle zostali członkami Stowarzyszenia Polskich Artystów Lutników, które skupia 60 osób. W 1972 roku przedstawili po dwa swoje dzieła na wspomnianym międzynarodowym konkursie lutniczym w Poznaniu, w którym brało udział 160 instrumentów z różnych krajów świata. Puławskie skrzypce doczekały się wysokiej oceny, choć nie zostały zakwalifikowane do trzeciego, najwyższego etapu imprezy, do którego dopuszczono zaledwie 15 egzemplarzy. Przypomnijmy, że w konkursie nie mogą uczestniczyć skrzypce, które nie mają cech ręcznej pracy lutniczej, posiadają ekscentryczne kształty, ozdoby i kolory, wykończone są w sposób rozmyślnie imitujący wygląd instrumentów starych i zbudowane z innych materiałów, niż drewno.

Najwyższą ocenę wystawił dziełom braci Uhle Zienkowski. Więc jest dobrze i z nadzieją należy patrzeć w przyszłość, czyli na udział obu lutników w przyszłorocznym, kolejnym konkursie międzynarodowym w Poznaniu, który rozpocznie się 30 czerwca?! Niestety, optymizm mącą pewne sprawy ogólniejszej natury, które mogą w ogóle „położyć" polskie lutnictwo, cieszące się, jak dotąd, bardzo dobrą opinią za granicą.

Rzecz w tym, że od czterech lat Stowarzyszenie Polskich Artystów Lutników nie jest w stanie zapewnić swoim członkom regularnych przydziałów odpowiedniego drewna — bo zakłady w Jordanowie, monopolista w tej dziedzinie, absolutnie nie są zainteresowane współpracą z lutnikami. Nieliczna grupa wybrednych odbiorców nie gwarantuje przedsiębiorstwu istotnych korzyści ekonomicznych.

Druga sprawa: krajowe struny zupełnie nie spełniają wysokich wymagań skrzypiec mistrzowskich, a zagraniczne przestały pojawiać się na rynku. Wielu lutników, zdecydowana większość, na oczy nie widziało strun najznakomitszej w świecie firmy amerykańskiej „Caplan". Zapominają też powoli, jak dźwięczą wyroby „Tomastika" czy „Pirastro", choć regulamin konkursu poznańskiego precyzyjnie określa gatunek strun: baranie owijane srebrem („g"), i aluminium („d") oraz metalowe („a", „e").

Nie można też kupić w kraju hebanowych kołków, podstrunnic, strunociągów i podbródków. Czy można je wykonać z materiałów zastępczych? Oczywiście, najlepiej z gliny.

Swego czasu SPAL sprowadziło partię lakieru renomowanej firmy „Hefner". Było to dawno, więc lakier już „wyszedł", a nowego nie ma.

W tej sytuacji wypada zapytać dla kogo urządzane są międzynarodowe konkursy lutnicze w Poznaniu? Konkretną odpowiedź znajdujemy na liście laureatów dotychczasowych imprez, zainicjowanych w 1957 roku. Otóż wśród 18 nazwisk znajdujemy trzy polskie. Nieźle? Czy ja wiem?! Na pewno wiem jednak, że jeśli materiałowe zaopatrzenie polskich lutników nie ulegnie poprawie, czekają nas lata chude, a może nawet rychły zanik lutnictwa.

A przecież te wszystkie trudności można zlikwidować prostym sposobem, który mógłby nie tylko poprawić los artystów lutników, ale także zwiększyć nieco nasze zasoby dewizowe. Chodzi o umożliwienie sprzedaży skrzypiec mistrzowskich za granicę. Uznane za dzieła sztuki, podlegają przepisom blokującym tego rodzaju handel. Gdy tymczasem obrazy współczesnych malarzy czy grafików polskich sprzedaje się zachodnim galeriom — z wdzięcznością w sercu i dolarami w kieszeni (po szczęśliwej transakcji). Cena instrumentu mistrzowskiego dochodzi na Zachodzie od 3 do 6 tysięcy dolarów, więc sprawa warta jest naszej żywej uwagi. Na skrzypcach polskich lutników zarobiłoby państwo, a sami twórcy zyskaliby środki na zakup zagranicznych materiałów wysokiej jakości, co zachęciłoby ich do zwiększenia opłacalnej nareszcie produkcji.

Jerzy Uhle wykonał dotąd czternaście skrzypiec, a Edward Uhle — osiem. Mogliby więcej, gdyby mieli z czego. Tajniki budowy tych instrumentów opanowali bardzo dobrze, a poza tym mają tak znakomitego doradcę, jakim jest profesor Oskar Ruppel z Lublina.

Ireneusz J. Kamiński

NA ZIELONY FRONT

TEMATEM nr 1 stało się rolnictwo. Nie tylko przez dające się odczuć trudności żywnościowe. Powstanie niedoborów rynkowych położyło tylko stempel aktualności na zagadnieniu, które istnieje od dłuższego czasu i domagać się będzie rozwiązania nawet wtedy, kiedy trudności w ich obecnym stanie zostaną zażegnane. W trakcie procesów demograficznych, cywilizacyjnych, technicznych — a i całego kompleksu nastawień psychologicznych na uboczu zostawić tu nie można — rolnictwo znalazło się w sytuacji wymagającej dokładnej analizy. Nie wystarcza skrzywienie ust spowodowane faktem, że nie udało się kupić kilograma kiełbasy. Posiadać świadomość problemu jako problemu należy do kanonów orientacji obywatelskiej Polaka 1976.

W czym rzecz?

Powiedzmy od razu, że w funkcjonowaniu gospodarki współczesnej, kierowanej założeniami planów perspektywicznych, najlepiej zdaje egzamin rolnictwo obejmujące jednostki duże, wielkotowarowe. Jeśli ze względów na tradycyjne właściwości psychiki chłopskiej marsz ku wielkoformatowemu rolnictwu odbywamy w tempie nieprzynaglanym, pozostawiając swobodę powolnemu dojrzewaniu przeobrażeń w nawykach i poglądach, fakt ten nie może pozostać bez skutku na rodzaj i charakter produkcji. Co innego wyprodukuje indywidualny rolnik, co innego państwowe gospodarstwo. Inaczej jej produkt wchodzi w relacje techniczno-organizacyjne poprzedzające sprzedaż, jak skup, przetwórstwo itp. A przypomnijmy, że np. w województwie lubelskim we władaniu sektora spółdzielczego i państwowego znajduje się „aż" 2,4 proc. użytków rolnych.

Starzenie się wsi. Jest to nic innego, niż tylko odwrotna strona medalu, którym jest wzrost atrakcyjności miasta jako miejsca zamieszkania. Dziś nie byłyby możliwe pamiętniki młodego pokolenia chłopów w analogii do tych, jakie przed wojną wydał prof. Chałasiński, ponieważ to pokolenie zdążyło stać się inżynierami, lekarzami, uczestnikami budów przemysłowych. Na wsi zostaje człowiek stary, coraz mniej zdolny do pełnowartościowej wydajności produkcyjnej i zanim dadzą o sobie znać skutki zaczętego procesu odwrotnego, zanim zostanie wyrównana zachwiana równowaga w naczyniach połączonych, pewien czas musi upłynąć.

„Zanim co" — biura geodezji i urządzeń rolnych rejestrują około 7 proc. „ziemi niczyjej", zostawionej w stanie zaniedbania przez niewydolność starych właścicieli. Owszem, tego stanu rzeczy nie pozostawia się samemu sobie — w roku bieżącym w naszym województwie od rolników indywidualnych przyjęto 1860 ha — ale jest to proces ciągły i nie można liczyć na odfajkowanie go w drodze dziesiątka czy dziesiątków posunięć administracyjnych. Decydujący głos będzie tu miała zmiana struktury własnościowej ziemi, a ta nie może być niczym innym, niż wynikiem wielorodzajowych przeobrażeń cywilizacyjnych. W każdym razie nasuwa się jedno: odczucie braków w zaopatrzeniu dotyczy również tych którzy fakt opuszczenia wsi łączą ze swym życiowym awansem przez osiedlenie się w mieście. Inaczej: stali się odbiorcami produktów rolnych uszczupliwszy szeregi dostawców. Co oczywiście nie jest powodem do rekryminacji. Ale jest faktem nie do pominięcia przy realnej ocenie sytuacji.

Konieczne dziś wyczulenie na sprawy zaopatrzenia powoduje poszukiwanie środków — jakby powiedzieć — nie klasycznych. Propaguje się np. tucz przyzakładowy. Większe zakłady pracy posiadają własne stołówki. Jest nieuzasadnione, by odpady żywnościowe z tych stołówek nie miały stać się czymś w rodzaju „surowca wtórnego" przydatnego do uzyskania nowej „masy towarowej". Ale próbuje się nie tylko takiej formy udziału ośrodków przemysłowych w zwiększeniu produkcji żywnościowej. Lubelskie Zagłębie Węglowe otrzyma przydział ziemi, na której rozwinie gospodarkę rolną.

Problem pasz. Jeżeli chce się mięsa, trzeba zacząć od trawy. Zielony listek robi karierę. Cała administracja i służba rolna zostały zaangażowane w tym kierunku, ponieważ tu właśnie leżą spore i niewykorzystane złoża rezerw. Dobrać się do nich — wiercieniem, czy odkrywką — to dostarczyć gospodarce hodowlanej potrzebnego materiału. Parowanie i kiszenie ziemniaków, wykorzystanie odpadów z przemysłu rolno-spożywczego, wzrost uprawy poplonów ozimych, zmagazynowanie trzeciego pokosu traw, kukurydzy, liści buraczanych — wokół tych spraw zaczęła się krzątanina w województwie. Zwykle nie dostrzegamy ich ważności, ale weźmy pod uwagę, że na import pasz w skali krajowej przeznaczamy — bagatelka — 70 proc. eksportu węgla.

Wydawałoby się: po co o tym? Użytkownik trolejbusu nie siądzie za kierownicą traktora wyręczyć starego człowieka na wsi, nie zasieje lucerny ni łubinu, nie przywdzieje białego fartucha by zająć się przyjmowaniem mleka w gromadzkiej zlewni. Oczywiście, ale też kontakt z rolnictwem za pośrednictwem zakupu wiśniowego kompotu i dwu kilogramów kartofli w sklepie „Pietruszka" nie formuje orientacji w „problemie nr 1" dnia dzisiejszego. Poza tym istnieje współzależność dziedzin. Nawet ten, kto produkuje drut jest „honorowym rolnikiem". Bo właśnie sieć wysokiego napięcia, kiedy wieś potrzebowała tylko energii na żarówkę, była wystarczająca. Nie jest wystarczająca, kiedy trzeba ruszyć młocarnię, sieczkarnię, wirnik. „Każdy sobie rzepkę" jest szkodliwym anachronizmem. Nie da się utrzymać w warunkach dzisiejszego społeczeństwa.

To tylko w fabryce zamyka się brama po przyjściu surowca i otwiera dla wyprowadzenia produktu finalnego, a cały środek to organizacja plus pracowitość. W rolnictwie są jeszcze chmury i słońce. Potrzeba nieustannej czujności, rzetelnego stosunku do warsztatu. Co się zaniedba wiosną, wyjdzie na jaw, ale jesienią. Żadne „nadrobienie" planu nie jest możliwe.

I rolnictwo bardziej wymaga pomocy społecznej. To z fabryk w razie potrzeby idą ekipy do PGR-ów, nie z PGR-ów do fabryk. To jest pomoc doraźna. Ale jest i pomoc „zdalna", długofalowa. Pracując dobrze na obojętnie jakim stanowisku mniej czy bardziej okrężną drogą przyczynimy się do tego, że będzie więcej jarzyn, więcej zbóż, więcej mięsa.

Fot. J. Mendychowski

Tajemnica rkp 16

Eugeniusz Gołębiowski

IDZIE o wiersz „Do przyjaciół Moskali". Osobliwe są dzieje jego powstania, a jeszcze osobliwsze — próby i trudy wyświetlenia ich. Ostatnimi czasy wydawało się, że sprawa wyjaśniona, aż tu nowa zagadka, i trzeba wszystko zacząć od nowa.

Jaka była ostatnia ekspertyza przedmiotu? Otóż stwierdzono i to „bez najmniejszej wątpliwości", że wiersz powstał w roku 1832 w Paryżu, jesienią, gdy już odbijano ostatnie arkusze wydania książkowego IV tomu „Poezyj" Mickiewicza (tj. „Dziadów cz. III", „Ustępu", „Objaśnień" autora i „Do przyjaciół Moskali").

Za podstawę analizy posłużył rękopis wiersza (jedyny, jaki się zachował), znajdujący się w Bibliotece Polskiej w Paryżu pod sygnaturą rkp 16. Wywód przeprowadzono w sposób (zdawałoby się) właściwy. Znalazły się też poważne (zdawałoby się) dowody. Mianowicie wskazano na to, że papier rkp 16 różni się od papieru brulionowego „Ustępu", że papier „Objaśnień" jest taki sam, jak papier rkp 16, co najważniejsze — że wiersz „Do przyjaciół Moskali" znalazł się w druku po „Objaśnieniach".

Wszelkie aneksy, a więc i objaśnienia, jak wiemy, umieszcza się z zasady na końcu książek, a tu na końcu jest wiersz poprzedzony aneksem. Wniosek? Rkp 16 powstał wtedy, gdy „Objaśnienia" były już wydrukowane, lub w druku. Nie mógł zatem powstać kiedy indziej, jak tylko w roku 1832, i to jesienią, późno, kiedy kończono druk IV tomu „Poezyj".

Kanon? Kanon.

I tak by już chyba ten kanon pozostał, gdyby nie... dwie literki. Wpatrując się uważnie w rkp 16 łatwo je zauważyć (foto) między 17 a 18 wierszem. Są dopisane ponad skreślonymi wyrazami *wolnego narodu*. Przez lupę można te literki odczytać jako *pr*. Wyraz poprzedzający je nietrudno rozpoznać jako *swoich*. Ale co może znaczyć owo *pr*? Aby to wyjaśnić, musimy sięgnąć do druku i zagadka rozwiązana. Idzie o *przyjaciół*. Ale tu pytanie: jaki to zecer mógł się tego domyślić? I drugie pytanie: czy tekst ten był przeznaczony do druku? Raczej nie. Bo gdyby tak było, poeta nie użyłby abrewiacji, przeciwnie, napisałby wyraz *przyjaciół* jak najwyraźniej. A tak — wolno mniemać, że pisząc owo *pr*, zanotował sobie tylko zamysł, świadom tego, że wiersz i tak trzeba przepisać.

Idąc po nitce do kłębka i porównując dalej rękopis z drukiem, natrafimy na nowe ważne fakty. Otóż okazuje się, że między rękopisem a drukiem są znaczne różnice. Na 36 wierszy przypada 18 zmian tekstowych. Spróbujmy wnieść je do rękopisu — otrzymamy tekst upstrzony 9 starymi i 18 nowymi poprawkami, słowem: brulion nie do druku. A zważmy, że manuskrypt nie ma tytułu ani dedykacji.

Najbardziej wymowne są zmiany semantyczne. W wierszu 30 rkp 16 czytamy: *Dla zgody ludów stawiam ten kielich godowy*. Tak. Poeta mógł wznieść taki toast (i nie tylko on). Ale kiedy? Przed powstaniem listopadowym, to jest wtedy, gdy miał nadzieję, że sprawa polska będzie rozstrzygnięta przez jakąś międzynarodową ugodę (kongres), jak to np. było z Grecją. Ale czy mógł taki toast, i to „godowy", wznieść po powstaniu listopadowym? Jakże? Komu miałby naród powalony i stratowany ofiarować zgodę? I to „godową"? Taki toast nad otwartą mogiłą wolności byłby absurdem. Wytłumaczenie jest tylko jedno: poeta wzniósł ów toast przed powstaniem listopadowym. I rzecz zrozumiała: w druku mamy co innego. Padają słowa: *Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny*.

I druga zmiana. W rkp 16 czytamy: *Kto się na gorycz skarży, niechaj jego skarga Będzie jak psa szczekanie (...)*. Było to uogólnienie bezosobowe, wyrażone w czasie teraźniejszym. Odnosiło się do tych Rosjan, których raziły ustawiczne lamenty patriotyczne Polaków. W druku jest inaczej: *Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga Będzie jak psa szczekanie (...)*. Różnica duża. Tam pisał poeta bezosobowo i w czasie teraźniejszym, tutaj odzywa się jego „Ja" i rządzi czas przyszły. Skąd ta zmiana? Cóż się stało? Czyżby nie było owych skarg w przeszłości? Były, skoro poeta o nich pisał w rkp 16. Więc? Otóż stała się rzecz ważna. Szły do druku „Dziadów cz. III" oraz „Ustęp" — i poeta liczył się z tym, że on sam i jego dzieła staną się przedmiotem ataku ze strony dawnych przyjaciół. W roku 1830 sytuacja polityczna poety nie była tak dramatyczna, jak w roku 1832. I nie czuł się Mickiewicz w r. 1830 wodzem narodu polskiego w pełnym znaczeniu tego słowa. Stąd ta zmiana czasu i nuta osobista wieszcza.

A inne zmiany? Są przeważnie formalne, stylistyczne. Ale ile w tej robocie precyzji, klasycystycznego kunsztu, śladów misternej rzeźby i długotrwałego trudu! Jak zresztą w całym wierszu.

Sumując wszystkie omówione tu zmiany, wolno stwierdzić, że rkp 16 nigdy nie był w drukarni.

Są jednak kontrowersje. Jeden z badaczy, lokujących rkp 16 w roku 1832, wysunął jako argument wiersz 19 tegoż autografu: *Może w ojczyźnie mojej (adwersarz) moją krwią się krwawi*.

Mają te słowa dotyczyć powstania listopadowego. Ale cóż? Utrzymane są w czasie teraźniejszym, a przecie w roku 1832 w Polsce wojny już nie było. Można by tu pomyśleć o represjach carskich, lecz i takie wyjaśnienie chybiłoby celu, bo jak wiadomo, represji carskich

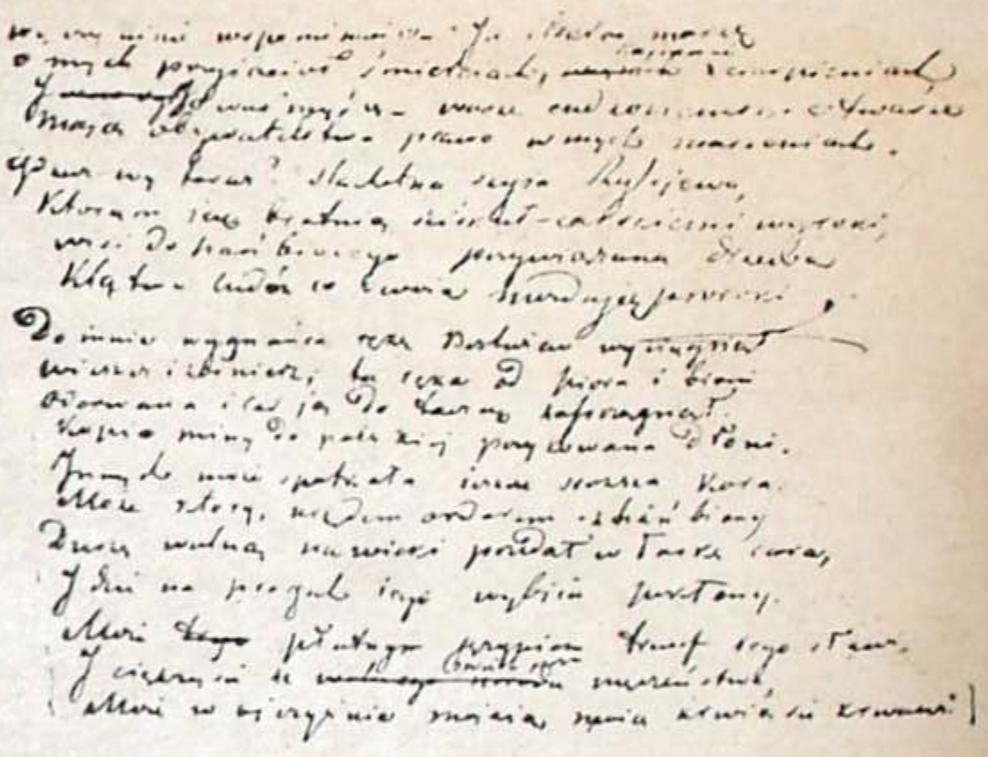

Autograf wiersza „Do przyjaciół Moskali"

nie brakło w Polsce i przed powstaniem listopadowym, co zresztą wyraziło się w twórczości Mickiewicza („Do matki Polki", „Dziadów cz. III", sc. I. w.w. 260=261 i in.)

Wysunięto i drugi motyw krwi. *Goryczy wyssana z krwi i łez mej ojczyzny* (...) Ale czy to musi odnosić się do powstania listopadowego? Polacy, zaczynając od konfederacji barskiej, stoczyli 14 kampanii wyzwoleńczych i co najmniej tyleż walk konspiracyjnych przed powstaniem listopadowym. Mógł więc Mickiewicz mówić o krwi i łzach przed rokiem 1830. I mówił. W „Konradzie Wallenrodzie" i w wierszach patriotycznych.

Na końcu rkp 16 jest cyfrogram:

S. 1828
9
30

Osobliwe o nim napisano komentarze. A to, że owe liczby to nie daty, a to, że literka „S" nie oznacza „scriptum" lecz stronice, a to, że poeta nigdy takiego „S" łacińskiego nie używał i nie pisał dat jedną pod drugą, a to, że układał takie kolumienki, ale dla obliczenia wierszy.

Argumenty to bezpodstawne. Łacińskiego „S" mógł poeta nie używać, ale w rękopisie kórnickim napisał: *Skończyłem przepisywać*, jest więc podobieństwo do *scriptum*, acz polskie. A zresztą, czy jednorazowe użycie znaku „S" może mieć jakąś moc dowodową? Daty ułożył poeta w kolumience dla abrewiacji. Nie idzie też o stronice. Ileż stronic musiałby liczyć „Ustęp", skoro już pierwsza pozycja cyfrogramu jest czteroliczbowa? Są w rękopisach Mickiewicza i inne kolumienki liczb, ale te rzeczywiście odnoszą się do wierszy i można je arytmetycznie sprawdzić.

Padło i takie pytanie: „Dlaczego poeta tutaj i teraz właśnie, w przed dzień ukazania się tomu drukiem, miałby notować czas pisania nie całego utworu, ale jednej tylko części i dlaczego tej właśnie części?" Wątpliwość jest taka, że trzeba sięgnąć do historii rkp 16, i pogawędzić o pewnej jego tajemniczej przygodzie. Kiedyś posiadał go wraz z kartami brulionowego „Ustępu" Konstanty Zaleski, przyjaciel Mickiewicza. Około roku 1897 zainteresował się tymi papierami literat Adam Krechowiecki i opisał je oraz opublikował w „Pamiętniku Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza" (1898). Tam też stwierdził, że manuskrypt „Do przyjaciół Moskali" to część „Ustępu", ostatnia jego stronica (21.) (op. cit. s. 372).

Potem papiery te znalazły się w Bibliotece Polskiej w Paryżu i tu zagadka. „Do przyjaciół Moskali" stanowi w tamtejszym archiwum całość odrębną i znajduje się w osobnej teczce jako rkp 16. Brulion „Ustępu" zaś (bez ostatniej karty) mieści się w innej teczce pod sygnaturą rkp 15. Odłączono więc część od całości.

Po co to było? Tajemnica. Ale są jej skutki. Padają przedziwne pytania, i trzeba wyjaśnić, dlaczego nie cały utwór, lecz tylko jego część ma datację 1828—1830.

A przecież ów cyfrogram jest jednoznaczny. Zamazane w nim cyferki, jak to u Mickiewicza, ale mimo to można je odczytać jako chronologiczną całość. Poeta tak je zestawił, aby opuszczając znaki zbędne 182 i 18, dać zapis dat: 1828, 1829, 1830. Tak też odczytali je literat Krechowiecki i specjalista Adam Lewak („Katalog rękopisów Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu", 1931, s. 19).

Pozostaje jeszcze kwestia różnic papieru, ale to nie problem. Po prostu — gdy skończył się poecie papier, sięgnął po inny. Niepodobna doszukać się w tym jakiegoś dowodu.

Rodowód wiersza „Do przyjaciół Moskali" jest więc taki: napisał go poeta w roku 1830. Po powstaniu listopadowym utwór nie nadawał się do druku, trzeba go było przerobić oraz przepisać na czysto. I poeta to zrobił, ale z opóźnieniem, to jest wtedy, gdy kończył się druk IV tomu „Poezyj".

Wiersz nie był dziełem chwili. Nie eksplodował z romantycznego natchnienia. Ukształtowały go dramatyczne doznania poety w latach 1828—1832. A to już jest faktografia obejmująca cały tom IV „Poezyj".

Zofia Luchowska

* * *

Nie uśmiechaj się tak
ironicznie,
przecież zgodziliśmy się
na tę
m a s k ę
na twarzy.
K ł a m i ę.
Zgadzamy się na to,
więc kpisz z chytrym uśmieszkiem
i z siebie także.
Kłamiesz moim oczom,
więc oboje mówimy
sobie prawdę.
Komu kłamiemy?

* * *

Rośnie we mnie
śpiew słów,
rozczula
kołysze harmonią
taktu
łagodność
i zgodność brzmienia.
Nucą struny
w gardle,
wyciągnięta na tapczanie
czuję w mózgu
melodię
szarych muzykantów
— zwodnicze syreny zamilkły
z zawoskowanymi ustami.

Stanisław Piotr Gaszyński

EROTYK BARDZO AWANGARDOWY

nie będę się na twoich rzęsach
rozmazywał
ani wyznawał ci całej przepastnej
głębi uczuć
na deszcz też
nie wybiegnę spokojnie
skończę się golić
to będzie współczesny erotyk
bez zbędnych słów treści
czy miłości
to będzie erotyk awangardowy
bardzo awangardowy
bardzo bardzo
„awanga"
„awa"
„AAAA!"
...a tam, —

oko-lice sztu-ki

Nowacki i inni

Andrzej Nowacki

Fot. A. Polakowski

W LISTOPADZIE obejrzeliśmy w Lublinie wyjątkowo dużo interesujących wystaw plastycznych, co potwierdza wcześniejszą opinię o ukształtowaniu się w mieście dość żywego ruchu artystycznego. Jest to niestety ruch jednostronny, złożony z ekspozycji importowanych — na ogół z Warszawy. Natomiast środowisko lubelskie jakby zamknęło się w pracowniach, a co się dzieje za ich drzwiami, trudno doprawdy powiedzieć. Wśród nielicznych pokazów naszych malarzy i grafików, urządzanych w przeróżnych klubach kultury, żaden nie zwrócił baczniejszej uwagi. Jedynym wydarzeniem późnojesiennego sezonu, trochę już zresztą nużącym, okazał się kolejny etap festiwalu prasowego W. Liagaczewa, którego portret zawodowo-psychologiczny lekką dłonią skreśliła dziennikarka „Kuriera Lubelskiego". Z tekstu wynika, że ponieważ grafik i malarz (sympatycznej galerii obrazowej) był w Paryżu, więc ani chybi jest świetnym artystą. Niżej podpisany był swego czasu w Moskwie, zatem po lekturze „Kurierowego" tekstu zastanawia się, czy aby nie ogłosić się specem od „morożonnych".

Na czołowym miejscu listy wystaw sprowadzonych do Lublina umieściłbym ekspozycję malarstwa i grafiki Andrzeja Nowackiego, artysty mieszkającego w Bydgoszczy, gdzie znany jest także z aktywności społeczno-organizacyjnej. W sztuce polskiej Nowacki ma już swoje miejsce, niemniej podanie kilku podstawowych informacji biograficznych, określających m.in. jego działalność twórczą, wydaje się wskazane.

Urodził się Nowacki w 1938 roku w Wilnie, a dyplom gdańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych otrzymał w 1963 r. Proszę zwrócić uwagę: artysta, który od wielu lat manifestuje swoje zainteresowanie losem człowieka uwikłanego bez reszty w dramat egzystencjalny, autor niesamowitych obrazów ludzi zredukowanych, studiował w okresie renesansu idei sztuki afiguralnej w plastyce polskiej. Powstałe wówczas lobby artystyczne było tak mocne i wpływowe, że wielu malarzy momentalnie nawróciło się na nową wiarę — informel, abstrakcję geometryczną, tableaux-objets — lub zamilkło, modląc się w głębi ducha o szczęśliwe przetrwanie inwazji. Jeśli Nowacki zawdzięcza cokolwiek tamtym czasom, to chyba tylko specyficzny sposób komponowania obrazów i rycin, oparty na operowaniu jednym elementem w abstrakcyjnej, geometrycznie wyznaczonej przestrzeni, co zresztą ma sens symboliczny, współtworzy klimat totalnej alienacji. Oczywiście, artysta stosuje także inne rozwiązania, niektóre jego obrazy czy akwaforty przypominają cięte dynamicznie kadry filmowe, a we wcześniejszej twórczości widać tendencję do narracji.

Sama uczelnia, do której uczęszczał Nowacki, nie pozostawiła wyraźnego śladu w twórczości bydgoszczanina i trzeba to uznać za fakt raczej wyjątkowy. Znam wielu malarzy — absolwentów gdańskiej PWSSP (gdzie swego czasu wykładał Piotr Potworowski), którzy po dziesięciu i więcej latach od momentu opuszczenia szkoły nadal nie mogą wyzwolić się z „gdańskiego" upodobania do błękitów i niebieskawych zieleni, albo — do kładzionych szpachelką brązów. Nowacki maluje płasko, nie łamie kolorów, nie miesza farb, często wpisuje postaci w białe przestrzenie obrazów. Inna sprawa, że początkowo artysta zajmował się przede wszystkim grafiką, a przynajmniej dzięki tej dyscyplinie stał się twórcą znanym i cenionym. W pewnym stopniu przyczynił się do tego również fakt jego współpracy z czasopismami krajowymi, w których zamieszczał liczne rysunki — może i satyryczne w swych treściach, nade wszystko jednak prowokujące, żeby nie powiedzieć drażniące widza. O jakości tych prac niech świadczy dwukrotne przyznanie Nowackiemu nagrody „Srebrnej Szpilki", było to w czasach, kiedy warszawski tygodnik kształtował jeszcze opinię publiczną, stosując starą metodę pana Minkiewicza: „nie zważając na osóbkę kłuć każdego mocno w pupkę".

Półtora roku temu, artysta zrealizował cykl błękitno-białych obrazów, których tematem są dżinsy, albo raczej ślad ludzkiej obecności w tym ubraniu, sygnalizowanej konwulsyjnym skrętem np. kurtki, ułożeniem rękawów. Nie ma w tych płótnach krzyku, który wypełniał wcześniejsze obrazy (chyba czasami za bardzo), jest natomiast tyle powściągliwa formalnie, co sugestywna w wyrazie symbolika „człowieka zniewolonego". Te dzieła, nie pokazane niestety w Lublinie, należy uznać za wyjątkowe w polskim malarstwie współczesnym. Twórczość Nowackiego rozwija się, to nie ulega wątpliwości.

Wśród innych wystaw, urządzonych w tym okresie w Lublinie, na szczególne wyróżnienie zasługują: ekspozycja „lirycznych tkanin" Barbary Levittoux — Świderskiej oraz pokaz malarstwa Teresy Pągowskiej z Warszawy. Obie autorki pojawiły się na otwarciu — w znakomitej formie.

Wszystkie wymienione wystawy otwarto w BWA (Andrzeja Nowackiego w ramach Salonu Krytyków). Dobry spadek pozostawił, jak widać, Edward Nadulski obecnemu kierownictwu tej placówki. Program tegorocznych ekspozycji powstał bowiem jeszcze pod okiem tego znanego artysty i organizatora.

IJK

P.S. Białostockie BWA urządziło pośmiertną wystawę malarstwa, grafiki i rysunku zmarłego w 1975 roku Józefa Charytona. Interesującą sylwetkę tego artysty przedstawię w jednym z kolejnych numerów „Kameny". Natomiast w salonie Biura Wystaw Artystycznych w Zamościu otwarto 20 listopada ekspozycję malarstwa i rysunku Grzegorza Sztabińskiego. Ciekawa, warta bacznej uwagi twórczość.

O JESIENI BEZ ZACHWYTU

Mirosław Derecki

W ARTYKULE „Wiosna jesienią" na łamach „Kuriera Lubelskiego", zapowiadającym lubelskie „Konfrontacje Młodego Teatru", J. Misiec napisał: *Festiwal* (posiadający jeszcze przed rozpoczęciem duży rozgłos *na forum ogólnopolskim* — przyp. MD) *pojawia się na arenie kulturalnej w chwili, kiedy pewna część krytyki usiłuje lansować pogląd o kryzysie w studenckim teatrze, a nawet całej kulturze studenckiej. Po ogólnopolskich imprezach — START, Łódzkie Spotkania Teatralne, FAMA-76 — kiedy często mówi się o braku wartościowych dokonań artystycznych, lubelskie Konfrontacje będą próbą weryfikacji tych opinii i szansą stworzenia nowej atmosfery wokół teatru studenckiego czy nowej jego koncepcji.*

Istotnie, zainteresowanie było wielkie, chyba szczególnie wielkie w samym Lublinie, w którym, po odejściu Andrzeja Rozhina, kierownika Teatru „Gong 2" i głównego animatora nie istniejących już dzisiaj Lubelskich Wiosen Teatralnych, dawało się wyraźnie odczuć lukę w życiu kulturalnym. Bezprzecznym zaś dowodem zainteresowania tą imprezą był z jednej strony rekordowy udział zespołów w festiwalu, z drugiej — rzadko spotykana frekwencja publiczności. W ciągu czterech dni wystąpiło w konkursie 12 teatrów reprezentujących większość polskich środowisk studenckich, a 7 zespołów wzięło udział w tzw. imprezach towarzyszących, bądź z powodu nie zakwalifikowania się do konkursu, bądź z powodu własnych założeń programowych. Ponadto zaprezentowały się dwie galerie plastyczne — Galeria Sztuki Najnowszej z Wrocławia i Galeria „Repassage" z Warszawy. W sumie, w Konfrontacjach wzięło udział około 400 uczestników, sprzedano prawie 1500 biletów na imprezy, a niemała liczba przygodnych widzów obejrzała także występy warszawskiej Akademii Ruchu prezentującej się na lubelskich ulicach, placach i skwerach.

Jeśli chodzi o samą imprezę, a także wspomnianą już „próbę weryfikacji", to Konfrontacje dla jednych obserwatorów były zaskoczeniem, dla innych potwierdzeniem dotychczasowych sądów. Nade wszystko jednak nie dały powodów do zachwytu, pozostawiając nadal otwarte pytanie na temat obecnej sytuacji w teatrze studenckim...

„Kamena", od lat uważnie śledząc rozwój i dokonania studenckiego ruchu teatralnego, szczególnie wiele miejsca poświęcała Lubelskim Wiosnom Teatralnym, recenzowanym zazwyczaj przez Marię Bechczyc-Rudnicką, zresztą najczęściej zarazem członka jury. Również odbywające się co dwa lata międzynarodowe festiwale młodego teatru we Wrocławiu mają w jej osobie bacznego obserwatora i komentatora. Dlatego też Konfrontacje dla piszącego te słowa z a s k o c z e n i e m nie były. Nie były również powodem do zachwytu, ale o tym później...

Omawiając przed dwoma laty dziewiątą (i zarazem ostatnią) Lubelską Wiosnę Teatralną w artykule „O wiośnie bez lakiernictwa", Maria Bechczyc-Rudnicka zwracała uwagę na niedostatki organizacyjne tej imprezy, ale przede wszystkim na brak interesujących dokonań artystycznych, a zarazem na niewielką liczbę zespołów uczestniczących (w porównaniu na przykład z VII LWT) i położenie głównego akcentu na tzw. „warsztaty", zresztą w większości niedostępne dla osób postronnych, co kłóciło się z lansowaną ideą „teatru wspólnoty". *Obawiam się* — pisała recenzentka — *iż wbrew pozorom imponującej pracy warsztatowej, 9 LWT została „przegadana", rozszczepiona na drobne grupki. Zresztą (ja ciągle o „atmosferze!") czyż mogła być wysoka temperatura na festiwalu, który ofiarował niewiele „prezentacji" wznoszących się ponad przeciętność?*

Spośród teatrów uczestniczących w ostatniej Wiośnie tylko niektóre pojawiły się na Konfrontacjach i to nie zawsze w imprezach konkursowych. Najwięcej było teatrów o 2—3-letnim stażu, a więc dopiero startujących, lub równie nowych zespołów, powstałych wprawdzie w obrębie starych, „zinstytucjonowanych" teatrów — jak np. „Kalambur" czy „Gong 2", ale starających zarazem odciąć się od tradycji i stylu wypracowanego przez tych, których określają mianem „wujów". Krakowskie teatry: „Fantastron", „Protekst" i „Inferno" powstały zaledwie przed dwoma laty. Podobnie poznańska „Maja". Lubelska „Scena 6" debiutowała w październiku 1975 r., a „Grupa Teatralna Kalambur 74" już swoją nazwą zaznacza miejsce w Akademickim Ośrodku Teatralnym „Kalambur" we Wrocławiu. Przy tych teatrach „Scena Plastyczna" z KUL, UMCS-owskie „Provisorium", warszawska „Akademia Ruchu", poznański „Teatr 8-go dnia" legitymujące się więcej niż pięcioletnim stażem, wydają się już staruszkami.

Może właśnie dlatego tak wiele było podczas ostatnich Konfrontacji przedstawień na pewno bardzo ambitnych, ale często nie dojrzałych, nie przetrawionych dostatecznie zarówno pod względem artystycznym jak i ideowym, choć przecież zaangażowanych. Nie wspominając o sporadycznych przypadkach nieodpowiedzialności. Były również takie teatry, których przedstawienia, pozornie awangardowe od strony formalnej i zbierające pochwały lub nawet zachwyty publiczności, były krytykowane przez plastyków za awangardowość pozorną, prowadzącą teatr w ślepy zaułek. Rozrzut tematyczny ogromny: od teatru po-

...i dotychczas nie wróciła

Tadeusz Jasiński

ZALEDWIE pełnoletnie dziewczę, nic nie mówiąc nikomu, po marcowych feriach nie wróciło ani do domu, ani do szkoły. Znikło, ślad po nim zaginął. Gdzie jest, czy żyje? Mijają dni, tygodnie, miesiące. Ale już po dwóch, trzech dniach, gdy możliwość pobytu w gościnie u kogokolwiek z bliższej i dalszej rodziny się nie potwierdza, trwoga sięga szczytów. Milicjo, dopomóż!

Właśnie słowami z powyższego tytułu kończą się na ogół prośby rodzin zgłaszających zaginięcie bliskiej im osoby w posterunkach i komendach Milicji Obywatelskiej: — *Wczoraj wyszła z domu i dotychczas nie wróciła.* Jeśli mija dłuższy okres i miejsca pobytu zaginionej osoby ustalić nie sposób, a istnieje domniemanie, że mogła wydarzyć się tragedia, ogłoszenia o podobnej treści czytamy w gazetach, słyszymy w radio, oglądamy podobizny zaginionych ludzi w telewizji, zapoznajemy się ze szczegółowym opisem cech zewnętrznych, nawet garderoby delikwenta. Pod koniec komunikatu dodaje się formułę, którą właściwie mamy już od dawna w uszach: *Osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji proszone są powiadomić najbliższy komisariat MO lub zadzwonić pod numer* taki to a taki w mieście lub gminie poszukiwanego człowieka.

Wspomniana dziewczyna, na szczęście, się znalazła. Po kilku miesiącach, w maju udało się ustalić, że przebywa aż w Kowarach u młodego mężczyzny, którego nazywała już narzeczonym. Jeśli się pobiorą, zapewne ten okres konspiracji uznają za szczególnie romantyczny w ich życiu. Czy jednak dziewczę nie mogło wysłać rodzicom wiadomości z jakiegokolwiek punktu rozległej ojczyzny, że żyje, nie podając ostatecznie adresu? Rozpacz rodziny, setki milicjantów poszukujących jej w czterdziestu dziewięciu województwach, to jak na jeden nierozważny kaprys — jednak za wiele.

Podobnie postąpiło inne dziewczę nieletnie. Uczestniczyło w wakacyjnym rejsie, który skończył się osiemnastego sierpnia. Poznało kogoś, jakże więc jechać do swojego miasteczka, skoro w Mikołajkach tak pięknie, a u boku jest „ten jedyny, wymarzony"? Owszem, wróciła, ale pierwszego września, bo przecież trzeba było pójść do szkoły. Ale przez te dwa tygodnie rodzice odchodzili od zmysłów, milicja poszukiwała jej bezskutecznie. Inna siedemnastoletnia dziewczyna wyszła z domu, a wróciła do niego po dziewięciu dniach, milcząc uparcie. Nie ujawniła przyczyn, ani motywów. Z rodziną nie miała nieporozumień, tu nie można więc szukać powodu jej nieobecności, a wyniki szkolne były zadowalające. Przy każdym z dziesiątków tego rodzaju przypadków nasuwa się więcej jeszcze pytań, na które nie zawsze znajdują się odpowiedzi, tym bardziej, że za niejednym powrotem z ucieczki kryje się uczuciowe uniesienie, najczęściej miłosny zawód lub niemożność samodzielnego poradzenia sobie z życiowymi kłopotami, które samemu się spowodowało. Zdarzają się ponadto tzw. wędrowniczki bez celu, zafascynowane słodkim życiem, bywają wędrownicy ciekawi świata.

Jeśli chodzi o młodych, jedną z przyczyn dość często powtarzających się w zgłoszeniach o zaginięciu są nieporozumienia z rodzicami. Szesnastoletnia uczennica liceum poczuła się pokrzywdzona w sporze z najbliższymi i zniknęła, by po trzech dniach znaleźć się zdrowa i cała. Inna skradła macosze tysiąc złotych, ojciec przeprowadził z dwunastolatką zrozumiałą w tej sytuacji i dość ostrą rozmowę. *Serdeczne pozdrowienia, wkrótce śmierć* — zastali rodzice na kartce, a dziewczyny w domu nie było. Marzec jest jednak zimny, mściwa wewnętrzna radość z obawiających się najgorszego rodziców na długo ogrzać nie zdoła, błąkającą się uciekinierkę spotkali milicjanci z patrolu, nastąpił więc w końcu powrót skruszonej, która przyrzekła, że nie tknie więcej „żadnej rzeczy, która jego jest".

Naczelnik Wydziału Kryminalnego KW MO w Lublinie, płk Jan Gozdur, po wymienieniu zaginionych ludzi z zanikiem pamięci lub innymi zaburzeniami, a także lekkomyślności młodych, którzy beztrosko znikają będąc w opałach miłosnych, a również zdesperowanych, którzy są przekonani, że nie są rozumiani przez rodziców, dodaje najczęstszą grupę uciekinierów „aktywnych" w maju i czerwcu. Wiąże się to ze słabymi wynikami w nauce, oraz obawą przed represjami ze strony najbliższych. Sięgam do teczki szesnastoletniej uczennicy, która po ujawnieniu się w lutym złych wyników w nauce opuściła dom, pozostawiając list:

Kochani Rodzice!

Po tym co się stało nie śmiem spojrzeć Wam w oczy. Więcej mnie nie zobaczycie. Będziecie wdzięczni, że odeszłam. Nie szukajcie mnie u żadnej koleżanki, bo nigdzie do nikogo nie pojadę. Żegnajcie na zawsze. Kochająca Was córka...

Dziewczyna wróciła po dwudziestu dniach. Może pojęła, że liczne dwóje można zmazać w następnym roku szkolnym, albo że można też obejść się bez szkoły średniej, a jednak żyć. Kult przeciętności, któremu wraz z częścią koleżanek i kolegów hołdowała, zbankrutował, to musiała przyznać. Jednak i rodzice muszą przemyśleć niejedno, choćby i to, czy przed rokiem wybrali dla niej właściwą szkołę, czy zawsze ambicje własne mają uzasadnienie w zdolnościach i zamiłowaniach dziecka.

Bywają też przypadki, że i szkoła musi stawiać sobie pytania. Przysłowiowe straszenie na wyrost, zamiast nieustannego i serdecznego wpływania na morale wychowanków, to wciąż jeszcze, niestety, stosowane narzędzie pedagogiczne pewnej części nauczycieli. Czasem jednak używa się tego środka z powodu bezradności wobec krnąbrnego i źle wychowanego w rodzinnym domu ucznia. Jakiekolwiek by były przyczyny, ucieczki majowe i czerwcowe powtarzają się corocznie, a ich liczba nie maleje.

Człowiek to instrument delikatny, co dziś zniesie spokojnie, jutro może przyjąć w wymiarach apokaliptycznych. W jednym z liceów Lubelszczyzny siedemnastoletnia dziewczyna dokonała drobnego przywłaszczenia. Rozpoczął się nad nią, wciąż narastający, sąd wychowawców, który miał wpłynąć dodatnio nie tylko na delikwentkę, lecz na całą młodzież. Odnoszono się do niej jak do złodziejki wielkich wymiarów, czuła się pohańbiona i ostatecznie pognębiona. Zniknęła na początku kwietnia; nad Wisłą znaleziono tylko jej torbę z książkami, a zwłoki wypłynęły dopiero w maju. A ile desperacji można się

Fot. M. Stankiewicz

prawie kaba-
nych dywaga-
b samookreśle-
świecie i kul-
nty z zakresu
parateatralne
sferę nowych
.

rezentowanych
stawie wielu
Konfrontacjach
ogromne za-
niami i specy-
gardy teatral-
ecznie świad-
jej filozofii i
celów, jak
powstania tej
afascynowanie
tyczną takich
ing Theatre",
Theatre", po-
Petera Broo-
Wilsona czy

Jerzego Grotowskiego. Owe zafascynowanie teatrem wspólnoty, teatrem otwartym, teatrem ubogim — świadczące skądinąd o ogromnej chłonności studenckiego środowiska teatralnego, o ciekawości świata, sztuki światowej i jej problemów — na ostatnich Konfrontacjach, niestety, nie znajdowało odbicia w warstwie intelektualnej i artystycznym ciężarze gatunkowym propozycji teatralnych. W dodatku warsztat teatralny wykonawców stał na ogół na niskim poziomie, co może było powodem, że niektóre zespoły przewidująco uczyniły sobie z tej cechy jedno z głównych założeń programowych. Nawiasem mówiąc, warto się chyba zastanowić, na ile i do jakiego stopnia rzutuje na studencki teatr fakt trzykrotnych odwiedzin w ciągu ostatnich siedmiu lat w Polsce „Bread and Puppet" Petera Schumanna.

Jury festiwalowe miało w tej sytuacji niełatwe zadanie, tym bardziej że Konfrontacje miały być konfrontacją opinii o teatrze studenckim z jego istotnymi dokonaniami i osiągnięciami. Ogłoszony werdykt spotkał się na ogół z przychylną opinią większości uczestników. Pierwszą nagrodę otrzymała interesująca „Akademia Ruchu" z Warszawy za całość działań artystycznych w czasie trwania festiwalu. Specjalnie wyróżniono „Scenę Plastyczną" (KUL) za dojrzałość dokonań artystycznych, poznański teatr „Maja" za udaną próbę określenia się we współczesnym świecie, oraz lubelskie „Provisorium" za interesujący, twórczy stosunek do prozy Gombrowicza (przedstawienie oparte na tekście „Ferdydurke"). Doceniono też ciężar gatunkowy poczynań artystycznych „Pracowni parateatralnej" z Gdańska i „Grupy teatralnej Kalambur 74" z Wrocławia. Natomiast podkreślono niedojrzałość ideowo-artystyczną przedstawień zaprezentowanych przez „Inferno", „Ekspozycje", „Fantastron" i „KTC".

Trudno w tym miejscu dokonywać szczegółowej analizy poszczególnych spektakli. Trzeba jednak stwierdzić, że po obejrzeniu Konfrontacji nasuwa się nieodparcie przekonanie jeśli nie o k r y z y s i e, to w każdym razie o okresie zdecydowanie zaznaczającego się p r z e s i l e n i a w teatrze studenckim i gorączkowego poszukiwania nowych dróg i nowych środków wyrazu. Notabene stwierdzenie jednego z uczestników podczas dyskusji podsumowującej, o „ubezwłasnowolnieniu świadomościwym" teatru studenckiego, któremu sens działań podpowiada plastyka (co znalazło wyraz w szeregu spektakli mających charakter „parateatralny", jak: teatr Mądzika, „Akademia Ruchu", „Ekspozycje" czy „Pracownia parateatralna") spotkało się z niechętnym pomrukiem zgromadzonych.

Poszukiwania studenckiego teatru stają się bardziej zrozumiałe w kontekście interesującego szkicu Krzysztofa Mroziewicza — „Teatr studencki: „Pożegnania" w październikowym numerze „Dialogu". Mroziewicz, odnotowując głosy krytyczne pod adresem teatru studenckiego, mówiąc o *kryzysie i nazbyt niegdyś wygórowanych ambicjach*, zwraca uwagę na istotny fakt nierozróżniania przez krytykę i opinię publiczną odmienności t e a t r u s t u d e n c k i e g o (grupującego ludzi dojrzałych artystycznie, często dawno już nie mających nic wspólnego ze studiami, związanych jednak emocjonalnie i intelektualnie ze „studencką" tradycją lat pięćdziesiątych oraz przełomu 1969—1970) i s t u d e n c k i c h t e a t r ó w a m a t o r s k i c h uprawiających to, co nazywamy zabawą w teatr dla zapewnienia sobie rozrywki w chwilach wolnych od studiowania. Pomiędzy jednym i drugim typem teatru panuje znaczny rozziew, przy czym ostatnio daje o sobie znać tendencja „amatorów" do wspinania się na stopień prawdziwie „artystyczny", co więcej — do spychania stamtąd uznanych „świętości". A nie, jak często dawniej bywało, powolnego „dojrzewania" w ich cieniu. Często owa przepychanka nie jest, niestety, umotywowana odpowiednią dojrzałością artystyczną.

Warto zwrócić jeszcze uwagę na fundamentalny problem, który m. in. podnosi Mroziewicz pisząc o „teatrze studenckim", a właściwie „o kilku zespołach które go tworzą": *Teatr ten opisany już i skomentowany, swoje wypowiedzi for-*

Dokończenie na str. 12

Fot. L. Leo

domyśleć u dwudziestosiedmioletniej matki czworga małych dzieci, która w pierwszej dekadzie stycznia wyszła z domu, a wróciła do niego w trzeciej, ale w lutym? Nieporozumienia rodzinne kazały także opuścić dom na dwa miesiące niespełna czterdziestoletniej kobiecie i to nie z powodu alkoholizmu męża. Sprawa miała głębsze podłoże. Na taki sam krok zdecydowała się czterdziestosiedmioletnia rolniczka. Swary narastały, aż któregoś dnia pokłócili się z mężem o sprawy gospodarskie. W wyniku poszukiwań ustalono, że mieszka ona u brata aż w województwie krakowskim. Rada funkcjonariuszy MO mogła być tylko jedna: — Jedź pan, przeproś małżonkę, przywieź do domu. My jej zmusić do powrotu nie możemy. Jej wola, jej prawo.

Wśród zaginionych jest, oczywiście, wielu takich, jak w przysłowiowym zgłoszeniu: — Mąż wyszedł do kiosku po zapałki i papierosy, dotąd do mnie nie wrócił... Pomijam jednak ten rodzaj zaginięć, ponieważ w naszej świadomości utrwaliło się już od dawna, że mężczyźni rzeczywiście w taki sposób niejednokrotnie porzucali swoje połowice. Nie podejmuję także problemu liczącej około siedemset osób w samym tylko województwie lubelskim armii alimenciarzy, którzy starają się zatrzeć w nowych miejscach zamieszkania i pracy swoją adresową przeszłość. Istnienie banku alimentacyjnego, jak dotąd, nie przyniosło takich wyników, jak tego można się było spodziewać. Pomijam również tych którzy z innych powodów ukrywają się przed odpowiedzialnością.

Rocznie, poza nimi, na tym samym obszarze znika prawie osiemset osób, o których niepokoją się najbliżsi. Wśród nich — właśnie coraz więcej kobiet, które nie chcą już dłużej żyć potulnie pod kuratelą mężów, szukają rozpaczliwie wyjścia właśnie w potajemnej ucieczce. Wiele spośród nich jest jednak do samodzielnego życia wśród obcych nie przygotowanych, kapitulują i wracają same. Inne, odnalezione, pozwalają namówić się do powrotu. Nawet pewna osiemdziesięcioletnia kobieta, która poróżniła się z córką co do sposobu nawożenia pól, znikła na dwa miesiące. Jak wielkie musiała mieć przekonanie o słuszności swojej metody gospodarowania, aby opuścić w proteście ziemię, którą uprawiała od dziecka, a ile było rezygnacji w jej powrocie?

Są jednak ludzie starzy cierpiący na zanik pamięci i orientacji przestrzennej. Poznałem przypadki, gdy znaleziono zwłoki w starym torfowisku lub oddane przez rzekę. Poznałem tragiczne następstwa zmian na tle przekwitania i psychoz involucyjnych. A ile tragedii powstaje na tle zaburzeń psychicznych, braku równowagi umysłowej? Któregoś dnia zaginął trzydziestoletni mężczyzna. W protokóle przeczytałem: *Istnieje uzasadnione przypuszczenie, że wymieniony mógł popełnić samobójstwo, gdyż w ostatnim okresie nosił się z takim zamiarem, jak również i z tego powodu, że w znacznym stopniu jest niedorozwinięty umysłowo. W okresie wcześniejszym usiłował popełnić samobójstwo przez powieszenie. Zatargów nie miał.* Po jakimś czasie zwłoki znaleziono w sąsiedniej wiosce w studni. O innym młodym człowieku rodzina od dawna wiedziała, że jest niezrównoważony umysłowo i w pewnych sytuacjach wymaga dyskretnej opieki. Przebywał w szpitalu. Kiedy miał być wypisany, nikt po niego nie przyszedł, a rekonwalescent pojechał na inny koniec miasta, napotkał lasek. Znaleziono go na konarach jednego z drzew. Nie, nie chcę mnożyć tego rodzaju przykładów, chociaż jesteśmy za wiele z tych wypadków współodpowiedzialni.

Kapitan Ryszard Lis z Wydziału Kryminalnego KW MO jest przekonany, że większości z owych zdarzeń, również i tych, które kończą się tragicznie, można było by uniknąć, gdyby nasze społeczeństwo odznaczało się większą kulturą współżycia. Za mało jest jeszcze tolerancji dla ludzi chorych psychicznie, za mało delikatności wobec tych, którzy ulegają różnego rodzaju psychozom, szczególnie, gdy objawy choroby są wyraźniej zauważalne. Sami zainteresowani unikają poradni zdrowia psychicznego, również rodziny nie dopuszczają myśli, aby nakłonić do tego swoich najbliższych. Tego rodzaju leczenie uznają za szczególnie wstydliwe i dla chorego, i dla rodziny. Za mało też najbliżsi opiekują się kobietami w okresie klimakterium oraz ludźmi starymi dotkniętymi miażdżycą, zmianami osobowości. Ich zniknięcia kończą się, niestety, dość często śmiercią.

Natomiast ludzie młodzi i dzieci czują się w swoich prawdziwych i urojonych nieszczęściach nazbyt samotni. W domach bardziej dba się o dobre wyżywienie i ubiór dziecka, niż o więź duchową z potomkiem. Bywa w nich zbyt wielka niefrasobliwość i pobłażanie, brak konsekwencji wychowawczej, a w momentach niepowodzeń uczniowskich — nadmierna srogość. W szkole młodzi za rzadko spotykają w nauczycielach mądrych, wytrwałych i godnych zaufania pedagogów.

Sprawy tu przedstawione są sygnałem, iż nie jesteśmy nadal społeczeństwem do końca harmonijnym, że mamy jeszcze wiele między sobą do uładzenia. Właśnie w rodzinach, szkołach, rzadziej w zakładzie pracy. Refleksja ta niczego, oczywiście, zmienić nie może. Niech nas przynajmniej zaniepokoi, zachęci do oględniejszego postępowania z najbliższymi, do poszukiwania sposobów lepszego współżycia międzyludzkiego. Warto znać wielkość problemu zaginięć. Podałem ją w skali rocznej, w jednym tylko województwie lubelskim, wybrałem przypadki reprezentatywne. Rozszerzmy to zagadnienie na cały kraj, a spostrzeżemy, że jest nad czym się zadumać.

Kamena str. 9

ADWOKACI

Maciej Podgórski

ZAJMUJĄC się od kilku lat reporterką społeczno-prawną, widzę — czego nie powinienem napisać, bo zależy mi na dobrych stosunkach z sądem — jak adwokaci integrują się w codziennym wyczekiwaniu przed salami sądowymi. Widzę, jak wypijają integracyjne kawy w „Delikatesach". Wszak raczej unika się kaw mieszanych, sędziowsko-adwokackich czy adwokacko-prokuratorskich, w miejscu publicznym, albowiem ktoś mógłby pomyśleć coś brzydkiego.

Wygląda zresztą, że prawnicy w sposób niejako naturalny dzielą się na kilka ość odrębnych grup zawodowych, przy czym studia prawnicze, wbrew potocznym mniemaniom, nie przygotowują do konkretnego zawodu, dają wiedzę ogólną z której obecny program eliminuje nawet logikę, łacinę i wiele zagadnień prawa rzymskiego. Ogólność przemienia się tutaj w ogólnikowość, i to jest właśnie złe — jak twierdzi docent Zbigniew Sobolewski, dyrektor Instytutu Prawa Karnego UMCS.

Owszem, przystępując do pisania pracy magisterskiej, student musi wybrać jedną ze specjalizacji: karną, cywilną, prawno-gospodarczą, administracyjną. Lecz nie obliguje to potem w żadnym sensie zarówno absolwenta jak i pracodawcy. Nie dziwota na przykład, gdy magister praw ze specjalizacją administracyjną zabiega o aplikanturę sędziowską czy prokuratorską. Wiadomo bowiem, iż praktyczna nauka fachu rozpocznie się dopiero po ogólnikowych, czteroletnich studiach. Wówczas wystąpią podziały i niejeden magister będzie zmuszony obkuć łacińską terminologię.

Na przyszłość oznacza to dalszą polaryzację środowiska, i tak już podzielonego. Istnieje oto Zarząd Okręgu Zrzeszenia Prawników Polskich w Lublinie, który stanowi czapeczkę dla trzech kół, skupiających ludzi z dyplomem prawa: 1) radców prawnych i pracowników arbitrażu gospodarczego; 2) prawników milicyjnych; 3) sędziów, prokuratorów, adwokatów, pracowników naukowych i innych. Podobno spośród „innych" chcieli wyodrębnić własne koło pracownicy administracji, ale nie doszło do tego.

Trzecie z istniejących kół jest najliczniejsze i w nim z pewnością dałoby się wydzielić grupę tak zwanych sądowników, czyli sędziów, prokuratorów, adwokatów. Tym bardziej, że pracownik naukowy wydziału prawa może wprawdzie być wpisany na listę adwokatów, może nawet szkolić aplikantów adwokackich, ale nie może prowadzić praktyki adwokackiej, czego przykładem docent Sobolewski. Więc pracownicy naukowi osobno. Z kolei odrębności adwokackiej grupy zawodowej pokazują najlepiej atomizację środowiska prawniczego, jeśli o takowym w ogóle można mówić. Tymczasem rzeczą pożądaną ze wszech miar byłaby integracja tego środowiska, cyrkulacja poglądów, wymiana informacji — także na gruncie półprywatnym, choćby w klubie... którego brak.

Adwokat staropolski w/g Norblina

Żeby zostać adwokatem w Polsce, trzeba nieco się zestarzeć, i jest to bodaj najdłuższa droga do zawodu w porównaniu z innymi profesjami. Po studiach bowiem kandydat na adwokata musi wpierw odbyć dwuletnią aplikację sędziowską lub prokuratorską, złożyć egzamin sędziowski lub prokuratorski, a następnie dopiero podjąć trzyletnią aplikację adwokacką, złożyć odpowiedni egzamin w końcu.

Jeśli nawet nie rodzą się obawy, że z prokuratury czy sądu przychodzą „odrzuty", to w każdym razie o parę lat skraca się okres aktywności zawodowej adwokata. Na 187 adwokatów zrzeszonych w lubelskiej Izbie Adwokackiej, obejmującej województwa: lubelskie, chełmskie i zamojskie, nie ma bodaj ani jednego człowieka przed trzydziestką. 33 osoby liczą 30—40 lat, 49 osób ma 40—50 lat, zaś 77 znajduje się w przedziale 50—65 lat. Profesja więc nader szybko się starzeje.

Tylko kandydat na adwokata ma po studiach obowiązek dwustopniowego dochodzenia do zawodu. Sędzia czy prokurator muszą wiedzieć swoje, natomiast adwokat musi wiedzieć to, co sędzia lub prokurator, i jeszcze więcej. Sędzia czy prokurator są pracownikami państwowymi, mają stałe pensje, do dyspozycji sztab sekretarek i maszynistek, a na sali rozpraw siedzą przy jednym stole (wyłączywszy sądownictwo wojskowe). Świadczenia adwokata traktuje się jako rodzaj wolnorynkowych usług, zależnych od popytu, przy czym adwokaci, w każdym razie lubelscy, gnieżdżą się w ciasnych, odnajmowanych lokalach zespołów, oszczędzają na sekretarkach, magnetofonach, bo wszystko to podraża koszta własne, które się odtąca od adwokackich obrotów. Powiedział mi pewien mecenas: „Na sali rozpraw siedzę poniżej stołu sędziowsko-prokuratorskiego i to mnie denerwuje jako pewien symbol".

Daleko mi do postulatu upaństwowienia adwokackiej profesji. Kreślę tylko jej specyfikę i odrębność, a także wewnętrzne powikłania i niekonsekwencje. Jeśli na przykład istnieje dowolność wyboru adwokata, to dlaczego kierownik zespołu ma obowiązek rozdziału spraw? Głównie tu jednak idzie o pieniądze.

Pokutują w społeczeństwie mity o zarobkach adwokackich, szczególnie „lewych", poza obowiązującą taksą. Mówiąc krótko, nie posiadam materiału do tego zagadnienia. Trudno wszak nawet przypuszczać, aby większość „brała". Czasem klient, któremu mecenas wygrał sprawę, nie dał ani grosza poza taksą, lecz sąsiadowi mówi, że dał. Tak właśnie powstają mity.

Absolutnie nie podejmuję się też dyskutować nad wysokością ustalonych dziesięć lat temu taks adwokackich. W każdym razie adwokat, jeśli potrafi, może osiągać miesięcznie obroty rzędu nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych. Prawie połowa z tego idzie na koszta zespołu, ZUS i podatek obrotowy. Reszta stanowi dochód adwokata, ale na listę płac on wchodzi maksymalną kwotą 12 500 złotych, pozostały dochód wpływa na konto Naczelnej Rady Adwokackiej. Z 12 500 potrąca się składkę emerytalną, podatek od wynagrodzeń, składkę na fundusz pośmiertny, na Radę Adwokacką (nie wiem czy czegoś nie opuściłem?), tak że czystego dochodu może mieć adwokat najwyżej około 11 000 złotych miesięcznie. Warto, aby społeczeństwo o tym wiedziało, jak również i o tym, iż średni miesięczny dochód adwokata w lubelskiej Izbie wyniósł za pierwsze półrocze br. — około 6000 złotych.

Jeśli się mówi pośród palestry o pieniądzach, a mówi się, to nie tyle o wysokości taks, ile o trzech drobniejszych sprawach: 1) Istnieje przepis, że pełnoetatowy członek zespołu nie może zarobić poniżej 2500 złotych miesięcznie na czysto. W wypadku choroby, świadczenia ZUS wkraczają po trzech miesiącach. Gdy choruje krócej lub po prostu pracuje nieefektywnie, wówczas muszą go refundować, do wysokości owych 2500, koledzy z zespołu. I to budzi opory, skoro w tym zawodzie jest się zdanym na indywidualną inicjatywę. 2) Sprawy cywilne na ogół mają duży poślizg w czasie, wymagają kilku terminów. Natomiast klient wpłaca do zespołu jedynie raz. Gdyby płacił za każdy termin, sądowi oszczędzone by zostało pieniactwo, adwokatowi zaś bezproduktywne stawanie przed sądem. 3) Bywają taśiemcowe, poważne sprawy karne, w których adwokat broni z urzędu. W przypadku wyroku skazującego na pozbawienie wolności i przepadek mienia zasądza się honorarium adwokackie od oskarżonego, który idzie siedzieć i jest nieściągalny...

Z Edwardem Młynarskim, wicedziekanem Rady Adwokackiej Wojewódzkiej Izby Adwokackiej w Lublinie, rozmawiam o nieco ogólniejszych sprawach niż pieniądze.

— Czy do reguły profesjonalnej należy ten szary garnitur adwokacki, niezbyt awangardowy, ale i niezbyt tradycjonalny? Żadnych dżinsów, długich włosów, wyzywających kolorów. Schludność i ład stroju, mające budzić zaufanie u klienta

— Tak.

— Czego się wymaga dziś od adwokata?

— Logiki, zwięzłości i krótkości argumentacji na sali sądowej. Minęły czasy poetów-adwokatów, wzruszania sali do łez. Teraz opanowanie się liczy i dobitność, bo spraw jest dużo i na łzy brak czasu, szczególnie, że trzeba go sporo poświęcać na zajęcia urzędnicze, niestety. Zmorą są odpisy z akt sprawy, tak zwane retenty. Kserografu nie możemy się doprosić. W każdym razie, jeśli idzie o występowanie adwokata na rozprawach, ten zawód został sprowadzony do wymiarów obowiązującego porządku prawnego.

— Na czym polega atrakcyjność profesji?

— Brak formalnej dyscypliny, człowiek sam sobie kierownikiem i dysponentem własnego czasu. Możliwość szybkiego sprawdzenia jakości własnej pracy. Bezpośredniość wystąpień, eksponowanie siebie przed publicznością sądową, celności argumentów, logiczności dowodów. Na koniec zarobek jednak.

— Środowisko wasze narzeka m. in. na system kształcenia aplikantów.

— Ostatni zjazd Zrzeszenia Prawników Polskich, który odbył się w tym roku przyjął konieczność zmiany ustawy o ustroju adwokatury. Postulowano na przykład, żeby aplikacja adwokacka trwała krócej i zaczynała się od razu po studiach, nie wykluczając jednak roku pracy w sądzie czy prokuraturze...

— Czy mówiono również o tym, że powstają nadmierne skupiska adwokatów w dużych miastach, teren zaś jest pod tym względem nader ubogi?

— Tak. Ale te sprawy ostatnio reguluje się na bieżąco. W naszej Izbie przyjęliśmy zasadę, iż jeśli aplikant szkoli się w zespole terenowym, będzie musiał tam zamieszkać. Trzymamy się tego bez wyjątków, aplikanci podpisują odpowiednie zobowiązania.

Słyszałem od adwokatów lubelskich, że „coś się kręci" wokół budowy domu adwokata w Lublinie. Podobno jest już wskazany teren i zespół projektowy, Naczelna Rada zapewniła środki. Jeśliby to doszło do skutku, miasto odzyskałoby lokale po istniejących obecnie zespołach, zaś adwokaci lubelscy znaleźliby się wszyscy w jednym gmachu i mogli popijać integracyjną kawę we własnym bufecie.

Poparłbym tę inicjatywę, gdyby się w domu adwokata znalazło locum dla klubu prawnika z fachową biblioteką, może nawet jakimiś miejscami noclegowymi, „małą gastronomią", salką odczytową, słowem — gdyby się znalazło miejsce nie tylko dla adwokatów z Lublina, lecz również innych prawników z miasta i terenu.

Poparłbym więc, nawet jeśliby mi zarzucono, że się do rzeczy zabieram od końca. Czasem można i od końca, aczkolwiek podejrzewam, iż u początku istnieje kwestia znacznie bardziej podstawowa. Jedno mamy społeczeństwo i jedno prawo w PRL, trzeba zatem dbać, aby studia prawnicze dawały mocną, naukową podstawę porozumiewania się ludzi, którzy jako prawnicy będą pracować w rozmaitych dziedzinach społecznego życia, i o to trzeba dbać od momentu egzaminów wstępnych, gdzie geografię zastąpiłbym testem z logiki oraz sprawdzianem wiedzy o społeczeństwie, bo — jak powiada docent Sobolewski — na tle stosunków społecznych rodzą się konflikty społeczne.

Fot. I. H. Kowalewski

DESKA

Henryk Makarski

OD kilku dni padałem na pysk z niewyspania. W kącie dwuosobowego namiotu cuchnęły skarpety i atmosfera gęstniała, tworząc stan zagrożenia, określany w wojskowej tradycji ustnej „syf na kafelkach!". Slipy przyrosły do ciała, ale w pobliskiej rzece Bug podmyć się nie mogłem, z dwóch powodów: pływać nie umiem, a kąpiel w tak brudnej wodzie urąga zasadom higieny osobistej. Łaziłem niedomyty, spałem nierozebrany, z otwartymi oczyma i pasem wojskowym w ręku. Toteż gdy i tej nocy dziewczyny wyciągnęły mnie na wartę, było mi już wszystko jedno: śpiąco, kojąco i gorąco, „Boimy się, druhu, druh z nami zostanie, prawda?" Byłem dla nich druhem, panem, panem profesorem, panem wychowawcą i Bóg wie kim jeszcze. „Oj wy, dziewice farbowane" — pomyślałem smętnie, bo cóż mi innego pozostało. Myśleć, patrzyć i czekać na coś ciekawszego. Może coś powiedzą te dojrzewające nieskromne gąski. Bo — jak powiedziała na ćwiczeniach z filozofii mgr Lasek, chuda okularnica — słowa są zrodzone z instynktów myślowych. Siadłem znudzony pod sosną. „— Zimno druhowi, druhu?" „—No!" — odrzekłem niekoniecznie inteligentnie, ale z intonacją świadczącą o pewnej przepaści intelektualnej, jaka dzieli Jacka Kościeszę, o.m.c. magistra prawa od rozrośniętej Marysi Jakieiśtamsiównej, o bezwstydnie niewinnych kształtach kobiety już dorosłej, ale jeszcze nie na tyle dojrzałej, by świadomie uczynić ze swego ciała narzędzie terroru. Siadła koło mnie Marysia i milczy. Nie minęło pięć minut, gdy dłoń zziębniętą włożyłem pod sweterek, by sprawdzić gorącość szesnastoletniego serduszka; zresztą na jej wyraźne życzenie. A serce miała ciepłe, cieplutkie, dobrze rozwiniete, krągłe i jędrne. Szczególnie to jedno—lewe. Prawego nie badałem. Drżała niespokojnie i oddychała coraz szybciej... „—Panie Jacusiu, hop, hop, gdzie pan, idziemy na podchody" — usłyszałem nagle za plecami. — „A żeby cię cholera!" pomyślałem szczerze i nie wiem sam, kiedy mi z ust wypłynęło: „—Tak jest pani kierowniczko, oczywiście bardzo chętnie, pani kierowniczko..." „—Świetnie, dla pana to idealne lekarstwo na wysokokaloryczne kolacyjki!" — radośnie zaskrzypiała Dembikowa i przysiągłbym, że w jej opancerzonych okularami oczach zamigotała złośliwa satysfakcja, choć co do tego pewności absolutnej nie miałem, albowiem północ smolista obóz spowiła. I całe szczęście, że ciemno. Szybko i dyskretnie dłoń rozgrzaną wyzwoliłem, Marysia chyłkiem bokiem skokiem zniknęła w ciemności namiotu. „—Czy pan się nie przemęcza, panie Jacusiu, przecież dzisiaj dyżur Tereski!" „—Drobiazg, już się przyzwyczaiłem, a pani kierowniczka jak zwykle w formie!" „Ech ty, żylasta kobyło, ty, któraś kobiecość swoja na śmierć zaćwiczyła przez 30 lat nauczania wuefu w żeńskim liceum, kacie dziewczęcych wdzięków, których delikatność ty — przetrenowana szkapo — zamęczyłaś na kozłach, koniach i drabinach, nawet w chwilach miesięcznych słabości!" — pomyślałem krwawo, choć w gruncie rzeczy Dembikowa wyratowała mnie kto wie z jakich opresji. Ojcostwo, prokurator, krętki blade, brrrr! Po chwili kadra niemal w komplecie (Teresa spała jak zwykle) stanęła przed masztem w gotowości do podchodów. Ruszyliśmy! Na czele oczywiście kierowniczka; sprężystym krokiem forsowała tempo marszu, rozświetlając mrok chińską latarką za 125 zeteł. Za nią rozglądająca się trwożliwie na boki cnotliwa Justyna praktykantka z torbą plażową pani kierowniczki. Za Justysią w przyzwoitej odległości 2 metrów skradał się Tadzio Hryć — wschodząca (co rano) gwiazda polskiego sprintu, członek kadry (na razie: obozowej), góralską ciupagę dzierżąc krzepko w dłoni, a za nimi wszystkimi człapałem ja, z pasem wojskowym brata Bodka w lewym ręku, a prawą — uwaga! prawą wlokłem za sobą strażacki bosak. Na razie nie wiadomo dokładnie po co, ale jakbym coś przeczuł instynktem nadprzyrodzonym, że posłuży mi w słusznej sprawie. Można było iść wygodniej, przez całe Sery, ale ze względu na poufny charakter operacji, poszliśmy na skróty, przedzierając się przez gęste krzaki karłowatej grabiny. Po dwudziestu minutach ujrzeliśmy światełko. „—Uwaga! Stop" — przenikliwie krzyknęła kierowniczka. „—Musimy poczekać, zarządzam krótką naradę! Pani Justysiu, proszę zaprotokółować, ja poświecę. To na pewno stałe oświetlenie masztu na placu obozowym. Podczołgamy się bliżej i — na mój sygnał — pan Jacek wyskoczy co sił i tym oto bosakiem strażackim zerwie flagę. A my — panie Jacusiu — my będziemy pana ubezpieczać, zrozumiane?!" W tym momencie stało się coś dziwnego: światełko zaczęło zmieniać położenie. Po chwili zapaliło się drugie i oto para gorejących punkcików wyraźnie szła w naszym kierunku! „—To ślepia wilka!"— głośno pomyślał Tadzio, wychowany w konstantynowskich lasach. „—Oooooj..." jęknęła Justyna i upadła zemdlona na idącego za nią Tadzia, który pod jej niebagatelnym ciężarem 40 kg (na jeden bok) runął na plecy, a ściśle mówiąc — na krzak jeżyn. Mnie się nic nie stało, ponieważ przezornie uskoczyłem na bok, ma się ten refleks. „—Trzeba rozpalić ognisko, wilki boją się ognia!" —wysapał Tadzio, wyplątując się z kolczastych objęć tego słodkiego krzewu. „—Ależ panie Tadziu!—" ofuknęła go kierowniczka — „to zdradzi naszą obecność i zostaniemy zdemaskowani. Musimy zrealizować cel naszej wyprawy! Proszę nie palić żadnego ognia, czy chce pan puścić z dymem tak piękny drzewostan?" Przypomniał mi się obraz, chyba Chełmońskiego. Wśród śnieżnej zamieci pędzą sanie, z wycieńczonych końskich pysków pryska piana, tuż za saniami wataha wilków, przerażeni podróżni wyrzucają wilkom prosię na pożarcie, to dramatyczny odruch, nadzieja na chwilowe zatrzymanie drapieżników. Popatrzyłem po naszym gronie. Kierowniczka— chuda i żylasta— odpada. Tadzio— sportowiec— nie, kupa stwardniałych mięśni. Ja odpadam, bo — trawestując słowa poety — wilk podlasiak miąs nieświeżych nie je. Pozostaje Justysia — tłusta, apetyczna świnka... I moglibyśmy ją tak zostawić zemdloną, z rozłożonymi pulchnymi nogami w krzaku jeżyn, ale raptem— jeden ognik znowu zgasł. Ki licho? Przymknął powiekę czy co? Może zaśnie? Po chwili wybuchł jasny płomień zapałki, oświetlając twarz Mariusza Żołędzia, lat 14, czołowego chuligana w mojej grupie, który zapalał papierosa, wywołując złudzenie drgania wilczej powieki! „Hej chłopcy"— pomyślałem zupełnie cicho, bo było ich dwóch, palaczy potajemnych— „a cóż wy tu robicie w okolicy obcego obozu, cóż żeście im podgwiździli, pewnie jutro skarga wpłynie. Ech wy, chuligani, bawić się kulturalnie nie umiecie, kraść się wam zachciało, albo i co lepiej!" I chciałem tymi wątpliwościami podzielić się z kierowniczką, ale w międzyczasie zniknęła w mroku razem z Tadziem-sportowcem. Ogniki również zniknęły— a więc sprawa przestała istnieć, przynajmniej na razie. Justysia się ocknęła, spojrzała na mnie, ja na nią, a księżyc począł wschodzić i jasność narastała, oboje zaczęliśmy się bać, siebie nawzajem. Całe szczęście, że wkrótce znowu połączyliśmy się w silną, zwartą i gotową załogę. Obóz wyłaniał się z mroku. Widać było wyraźnie oparte o wysoki maszt skulone postacie wartowników i tablicę z napisem „OBÓZ HARCE..." Brakowało jednej deski. „—Uwaga!" — syknęła kierowniczka— „w tyralierę! Czołganiem naprzód!" Bezszelestnie jak duchy pracowicie sunęliśmy do przodu. Nagle krzyk: „—O Jezu! A co to!?" — i Dembikowa podskoczyła do góry jak oparzona, wymachując konwulsyjnie ręką. Coś przywarło do jej lewej dłoni i siedziało nieruchomo. „Gówno? niedowierzająco wyszeptałem, wytężając wzrok i węch. — „Co za chamstwo! Żeby tak się załatwiać byle gdzie, to to jest niesłychane! Co za kultura, w naszym obozie jest przynajmniej latryna"! — wykrzykiwała Dembikowa do wyrwanych z wartowniczej drzemki harcerzyków, którzy z ciekawością niejaką przysłuchiwali się jej monologowi. „—Latryna u nas jest, faktycznie"— przyznałem w cichości ducha rację kierowniczce — „ale wszyscy i tak chadzają pod sosenki, ponieważ wewnątrz latryny brak deski i przykucnąć nie ma na czym!" — pomyślałem tylko, nie chcąc jej zadawać ciosu w plecy w tak krytycznej sytuacji. A sytuacja stawała się istotnie nieciekawa. Wkrótce zostaliśmy otoczeni i wzięci do niewoli. Poderwane alarmem harcerskie ordynki ziewały na baczność przed namiotami. Brodaty komendant w krótkich spodenkach już całował w rączkę Dembikową, przedstawiając jej swoje „wino-grono" pedagogiczne. Ta rycerskość narodowa w tym momencie wydała mi się podejrzana. Czekaliśmy cierpliwie na rozwój wydarzeń. Po wstępnej ceremonii towarzyskiej odbył się — o zgrozo — sąd wojenny. Ja, Tadzio i Justyna — jako ślepi wykonawcy rozkazów — zostaliśmy uniewinnieni i zwolnieni z aresztu. Natomiast kierowniczkę — naczelnego wodza i sprawcę agresji — ukarano myciem menażek. Po chwili rozłożysta druhna w ciasno opiętym mundurku, który aż pękał w szwach w okolicy piersi, postawiła przed nami parujące menażki z bigosem. Kierowniczka smętnie popatrzyła na tłustą kapustę, która szczelnie oblepiała blaszane ścianki. Przy akompaniamencie zgrzytających menażek rozbrzmiewały pieśni masowe harcerzy polskich. Minęło pół godziny. „—No cóż, pani kierowniczko" — rzekł druh brodaty — "słowo się rzekło— kobyłka u wody!". Wkrótce nasza pani Lodzia trzymała menażki, ja trzymałem bosakiem Lodzię, a mnie już tylko matka ziemia przyciągała przyciąganiem swoim. W tym momencie błysk flesza rozdarł ciemności; pstryknięto zdjęcie do kroniki obozowej i w ten oto sposób zostaliśmy uwiecznieni w historii harcerstwa polskiego. Kiedy wyrok sądu zrealizowano na wysoki połysk, wróciliśmy gromadnie do namiotu komendanta Wojtusia. Po pierwszej butelce żytniej z kłoskiem zapomnieliśmy o podchodach, sądzie wojennym, brudnej menażce nad rzeką i innych zgryzotach.

Zbudził mnie poranny ziąb. Towarzystwo chrapało pokotem. Szczękałem zębami tak namiętnie, że pobudziłem kobiety, śpiące z drugiej strony skrzynki po kartoflach, która ze stołu biesiadnego przemieniła się w mur cnoty. Kiedy milczkiem dowlekliśmy się jakoś do naszego ukochanego obozu, powitał nas taki wrzask, jakby sto małp płci kobiecej kłóciło się o jednego banana. Fruwały w powietrzu materace i resztką jeszcze mocno skacowanego refleksu cudem zdążyłem uchylić się przed szybującym jak bumerang trampkiem koloru zielonego. Kierowniczka Lodzia zaniemówiła. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo jak posąg rozgniewanej bogini w okularach, patrząc w osłupieniu na kotłowaninę podgłówków i półgłówków, obuwia i co lżejszego sprzętu obozowego inwentarza. Gdy minęło chwilowe zaskoczenie, głosem zawodowego kaprala wojsk liniowych usiłowała przekrzyczeć tę zgraję dzikusów, podnieconych nieobecnością personelu. O dziwo! Namiot nr 3 stał prosto i nic nie wskazywało na to, żeby leżał kiedykolwiek na ziemi. Gorzej— panował w nim idealny spokój! „—Uciekli"— przemknęło mi początkowo przez potwornie obolałą głowę. Podejrzliwie zajrzałem do środka. Byli— i to w komplecie! Chytreńkie gęby czołowych chuliganów tego zgromadzenia pochrapywało niewinne a ciężko, jak hutnicy po nocnej zmianie. Przypomniałem sobie błyskawicznie aferę z wilczymi ślepiami i już miałem targnąć za ramię Dariusza Żołędzia, ale raptem dały znać o sobie świeżo kiszone ogórki. Pobiegłem więc do latryny. Już kucałem z lubością, gdy nagle — zobaczyłem coś, co mnie wprawiło w niekłamane zdumienie. Powstałem, przetarłem oczy, uszczypnąłem się dla większej pewności w zarośnięty policzek, ale TO nie zniknęło! Zamknąłem na moment powieki, niech wypoczną. Potrząsnąłem głową i spojrzałem jeszcze raz: na środku latryny jaśniała świeżym lakierem szeroka deska z napisem „...RSKI" Wróciłem jak ogłuszony. „Druhu wychowawco! Melduję grupę „Łobuzy" na apelu porannym! Stan 25, obecni wszyscy!..." —wyrecytował Dariusz Żołądź z szelmowskim uśmiechem. Nie pytałem go już o nic. Dla mnie wszystko było jasne. Po apelu przyszedł do mego namiotu. „—Druhu, czy wolno coś tak na niby pod pieprzyć, zakosić? Dla dużej sprawy, no wie druh, zrobić taką małą szkodę, żeby naprawić wielką potrzebną rzecz, no wie druh, czy taka ważna sprawa może usprawiedliwić taki numer?"— wyjąkał, niby taki zaangażowany. „—Ej ty, chytrusku długowłosy ty, chcesz mnie podejść, w kozi róg zagonić, co?" — pomyślałem, czujnie ripostując: „—Wiesz co, Żołędź, skocz no na jednej nodze po papierosy bo zaraz sklep zamkną, pogadamy jak wrócisz!" „—Tak jest, druhu!"— i już go nie było. W gruncie rzeczy lubiłem tych łobuzów. Mieli dobre intencje, tylko głupi wygląd. A że po wyglądzie się często ludzi ocenia, to fakt... Sen mnie morzył, powieki sklejał. Wziąłem pas wojskowy do ręki....

Kamena str. 11

70 LAT W SŁUŻBIE SZTUKI

Wiesław Horabik

W LATACH 1898—1899 Hieronim Łopaciński, człowiek, którego działalność stanowi epokę w kulturalnej historii Lublina, zorganizował wystawę starożytności. W 1901 roku otworzyła swe podwoje dla zwiedzających kolejna wystawa, tym razem przemysłowo-rolnicza, na której znalazła się jednakże i ekspozycja muzealna, obejmująca przemysł zdobniczy, etnografię i archeologię. To te dwie wystawy natchnęły Łopacińskiego myślą zorganizowania w Lublinie stałego muzeum. W 1906 roku wystąpił on z tą propozycją i przy pomocy Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego powstało Muzeum Lubelskie. Pomysł nabierał szybko rozmachu. W 1908 roku zaczyna gromadzić muzealne eksponaty Towarzystwo Higieniczne, a w 1911 Sekcja Muzealna przy Towarzystwie Krajoznawczym. W 1914 roku w zabytkowym budynku przy ulicy Narutowicza 4 zbiory trzech Towarzystw tworzą, z inicjatywy Tadeusza Piotrowskiego, stałą ekspozycję Muzeum Lubelskiego. Ale datę 1906 uważa się za tę pierwszą, początkową.

70 lat pracy dla sztuki. 70 lat pracy dla „zarażenia" kogoś pasją zbieractwa i kolekcjonerstwa, dla zachwycenia kogoś wielkością ludzkiego talentu. 70 burzliwych lat i lat spokojnej, wytrwałej codzienności. Dyrektor Zygmunt Ślusarski nie wymienił nikogo. Wszyscy oni, dzisiaj niemal osiemdziesięcioosobowy sztab stałych pracowników, rozbudowują i pielęgnują Muzeum. Bo muzea tworzą ludzie.

W 1939 r. było już około osiem tysięcy eksponatów. Lubelskie Towarzystwo Kulturalne, a w 1921 r. Muzeum Ziemi Lubelskiej dr Wacława Lasockiego z Nałęczowa wzbogaciły tamte pierwsze zbiory trzech Towarzystw. To była właśnie masa zabytkowa, z której wyszło Muzeum. W 1935 r. duży budynek dzisiejszej biblioteki Łopacińskiego pomieścił zbiory.

Potem przyszło bombardowanie Lublina. Całkowitemu zniszczeniu uległy zbiory przyrodnicze. Cenniejsze muzealia, a nawet katalogi, wywieźli lub zniszczyli okupanci. 60 procent zbiorów Muzeum Lubelskiego przepadło.

A w 1945 roku znowu przyszli ludzie. Muzeum — którego dyrektorem został W. Ziółkowski — wznowiło działalność mając około 3 tysiące eksponatów. Zaczęła się żmudna, ciężka i powolna praca gromadzenia od nowa. W tamtych czasach opłacana była tylko satysfakcją i poczuciem zaspokojenia pasji.

Dopiero w 1956 roku Muzeum znalazło swoją właściwą siedzibę. Przeniesione do lubelskiego zamku, objęło w posiadanie południową jego część, wraz z wieżą zamkową i kaplicą zamkową, zabytkiem klasy zerowej. Podniesione do rangi Muzeum Okręgowego, objęło opiekę nad muzeami regionalnymi i biograficznymi województwa. Pozostałą część zamku zajął Wojewódzki Dom Kultury. Muzeum rozrosło się w nowej siedzibie. A dzisiaj?

— Na nasz Jubileusz — mówi dyrektor Ślusarski — chcielibyśmy mieć już do dyspozycji cały zamek. Prace remontowo-konserwatorskie trwają. Posiadanie całego zamku dałoby nam nareszcie tak potrzebną przestrzeń. Moglibyśmy wyjść z niewygodnych sal ekspozycyjnych, nabrać rozmachu, pełniej wykorzystać możliwości przestrzenne. Planujemy utworzenie Uniwersytetu Kultury. Nasze Studium Wiedzy o Kulturze, organizowane wspólnie z TWP, miało wielu uczestników, mimo iż było odpłatne. Świadczy to o celowości takiego przedsięwzięcia. Myślimy o zorganizowaniu Koła Przyjaciół Muzeum. Są tacy ludzie. Przy okazji każdej nowej wystawy spotykam niezmiennie grupę tych samych zwiedzających. I bez zaproszenia są zawsze wtedy, gdy w muzeum dzieje się coś nowego. Tacy ludzie to nasza duma. Wobec nich muzeum spełniło swoją funkcję propagatora sztuki.

— A pozostali zwiedzający?

— Jak zwykle w muzeum, to różni ludzie. Galeria malarska to głównie pomoc dla szkół. Urządzamy ekspozycje tak, aby reprezentować wszystkie ważniejsze kierunki malarskie. Dokonujemy szczegółowej selekcji, ekspozycja obejmuje zwykle tylko 5 procent całych zbiorów. Ale to jest ten wybór. Zmiany stałych wystaw pozwalają na obszerną prezentację wszystkiego, co posiadamy. Taki system wystawiania nie jest dla zwiedzającego nużący. Czasami przychodzi cała klasa żeby zobaczyć jeden obraz. I to nas cieszy. To nasza praktyczna pomoc w nauczaniu o sztuce.

Galerię malarską w Muzeum Okręgowym nazwałbym wyrafinowaną. Celowość selekcji i rozplanowanie przestrzenne ekspozycji sprawdzę we własnym odczuwaniu. Jak zwykle zachwyci mnie mój ulubiony obraz w galerii „Most w Monachium", dzięki swemu pięknu „atmosferycznemu", i monumentalna „Unia Lubelska" Matejki, złożona jako depozyt do Muzeum Okręgowego przez Muzeum Narodowe w Warszawie; i cykliczne zamknięcie ekspozycji malarstwem współczesnym.

Muzeum Okręgowe w Lublinie to muzeum wielodziałowe. Dział Archeologii prowadzi i pielęgnuje zbiory z zakresu kultury materialnej dawnych społeczeństw. W zbiorach tego działu znajduje się już około 10 tysięcy zabytków. W 1945 roku było ich sto pięćdziesiąt. Cenne i nierzadko rewelacyjne wykopaliska z epoki kamienia, brązu i żelaza. W kolekcjonowaniu zbiorów tego działu najwyraźniej znajduje spełnienie naukowa przygoda, hazard i loteria poszukiwawcza.

Liczba eksponatów Działu Etnografii — 14 tysięcy — stawia ten dział w pierwszej grupie placówek muzealnych w Polsce. Zbiory z zakresu sztuki ludowej, pisanki, wycinanki, stroje. I z zakresu kultury materialnej: wyroby garncarskie, sprzęty, meble.

O Dziale Sztuki wspomniałem. Malarstwo polskie i obce od XV wieku do dzisiaj. Grafika, rysunki, akwarele.

— Jak Muzeum wychodzi naprzeciw młodym twórcom? Czy wychodzi?

— Oczywiście. Dokonujemy specjalnego wypunktowania sztuki nowoczesnej. Zorganizowaliśmy np. plener dla młodych twórców „Metafora 76" w Kluczkowicach.

Dział zdobniczy — to pozycja wyodrębniona z Działu Sztuki. Prezentuje około 400 sztuk eksponatów: ceramikę artystyczną, tkaniny, wyroby metalowe, zabytkowe meble.

Muzeum ma także w swych zbiorach kolekcję militariów, oraz bogaty gabinet numizmatyczny, dysponujący liczbą ponad 40 tysięcy eksponatów, ze szczególnym uwzględnieniem numizmatów polskich i mających związek z Polską. Ułożone w gablotach według poszczególnych działów, odtwarzają historię numizmatycznych znalezisk, głównie z Lubelszczyzny.

Dział Konserwacji Malarstwa to ważne ogniwo działalności Muzeum. Fachowcy z tego działu przywracają świetność bezcennym zabytkom sztuki, konserwują i pielęgnują dla nas artystyczną spuściznę wieków. Dzięki ich pracy setki zapomnianych i nieczytelnych osiągnięć sztuki malarskiej ukazało się w całym swym pięknie.

12 grudnia 1976 roku będzie dniem jubileuszu. Zbiorą się ponownie, by w 70 lat po swoich poprzednikach radzić o teraźniejszości i przyszłości wspólnego dzieła. Ożywia ich z pewnością ta sama pasja. Tak, jak samo muzeum jest historycznym łańcuchem łączącym wieki ludzkiego wysiłku twórczego, tak praca tych ludzi jest historycznym łańcuchem poświęcenia sztuce.

— Jak będą przebiegały obchody jubileuszu?

— Głównie chodzi nam o popularyzację naszej działalności na zewnątrz, o mocne zaznaczenie naszej obecności we wszystkich poczynaniach kulturalnych miasta — mówi dyrektor Ślusarski. — Już w jubileuszowym roku organizujemy szereg wystaw w różnych punktach miasta, że wspomnę tu tylko wystawę w Domu Kultury LSM „Lublin w malarstwie i grafice", czy wystawę etnograficzną, także na LSM-ie. Planujemy zorganizowanie Tygodnia Kulturalnego. Każdego dnia inny dział zaprezentuje swój dorobek, swoją pracę codzienną i przyszłościowe zamierzenia. Został już wybity medal z okazji 70-lecia, który otrzymają zasłużeni pracownicy Muzeum i ludzie, bez pomocy których byłoby nam ciężko. Planujemy także uroczysty koncert. Najważniejszą jednak sprawą pozostaje dla nas rozbudzenie zainteresowania sztuką szerokich rzesz społeczeństwa, zaszczepienie kultury muzealnej, pomoc nauczycielom, którzy wykładają sztukę i wykładają o sztuce.

O JESIENI BEZ ZACHWYTU

Dokończenie ze str. 8—9

mułował z wysokiego tonu, dlatego z taką uwagą wsłuchiwał się w ów ton i badał skuteczność własnej pracy. Były to wypowiedzi o ważnych sprawach Polski i Polaków. Dziś zżyma się może ktoś, że teatry nie pilnowały swego nosa, a wtrącały się w zbyt poważne dla nich problemy, których teatr nie potrafi przecież rozwiązać, bo to nie jego dziedzina. Wtedy jednak teatr ten za to samo zyskiwał wysokie oceny. W miarę upływu czasu tamten moment ulega coraz większej mitologizacji. Ale nie ma tu tajemnicy — podówczas teatr zapowiadał zmiany, ale nie był w stanie przewidzieć ich tempa ani kierunku. Teraz zagubił się jakby i jeśli któryś z zespołów kontynuuje dawne przedstawienia — wydają się one anachroniczne. Rodzaj zmian nie uwzględnia postulatów teatru, stąd gorycz teatru. Ale gdyby rozwój życia zależał od sceny, co zresztą wydaje się śmieszne — mielibyśmy dziś dopiero rok 1971. (...)

•

O relację z niektórych przedstawień festiwalowych byłoby w tej chwili trudno, jako że nie widziałem, mimo trzykrotnych usiłowań, konkursowego przedstawienia Sceny Plastycznej — „Zielnik" i przedstawienia konkursowego „Provisorium".

I tutaj wchodzimy w orbitę tzw. spraw organizacyjnych, które są nieodłączną częścią każdego festiwalu. W wypadku dużych imprez czy festiwali studenckich mają okazję sprawdzenia swoich umiejętności nie tylko artyści, ale i przyszli działacze-organizatorzy. Takie festiwale są także sprawdzianem prężności, dojrzałości i zdolności organizacyjnych danego środowiska. Akredytowanie dziennikarzy przy festiwalu nakłada na organizatorów konkretne obowiązki. Między innymi obowiązek główny: umożliwienie wejścia na konkursowe spektakle. A tak nie było.

„Gwiazdorstwo" w sprawach organizacyjnych jest bardzo poważnym błędem, a twierdzenie, że „zawsze tak było, bo na tym polega specyfika studenckich imprez" — jest co najmniej nieporozumieniem. Organizacja festiwalu — pod względem porządkowym — była zdecydowanie zła. Nie zapewniono odpowiedniej liczby tzw. „bramkarzy", przedstawienia rozpoczynały się wcześniej lub później, a drzwi do sal widowiskowych otwierano w ostatniej chwili i szereg owych podbramkowych sytuacji wykraczało daleko poza granice tzw. „studenckiego żartu" świadcząc o tym, że organizatorzy w wielu wypadkach nie panowali nad sytuacją.

Źle działała również informacja, a także Biuro Prasowe, obsadzone przecież nie tylko przez dziennikarzy studenckich, ale również przez młodszych dziennikarzy z prasy lubelskiej. Było mniej więcej tak, jak to opisała Maria Bechczyc-Rudnicka przed dwoma laty: *W tym miejscu muszę poddać krytyce bez lakiernictwa grzecznościowego biuro prasowe 9 LWT, z którym wyjątkowo trudno było w tym roku nawiązać kontakt. Widocznie liczni jego członkowie wyżywali się w mozolnym tworzeniu (...) „Biuletynu", zawierającego miast liczniejszych, rzeczowych informacji, zakalcowate i „sansfaconiaste" recenzyjki (niby — „między nami kolegami"), sporo mętnawych medytacji parafilozoficznych tudzież dowcipasy „dla samych swoich."*

Jeśli — parafrazując tytuł artykułu: „O wiośnie — bez lakiernictwa" — piszę dzisiaj „O jesieni — bez zachwytu", to robię to w trosce o przyszłość Konfrontacji, które potwierdziły, że są bardzo potrzebne i że miejscowe środowisko uczestniczy w nich z ogromnym zaangażowaniem.

Mirosław Derecki

Kamena str. 12

Jerzy Krzysztof Misiec

KONIEC NASZEJ ZABAWY

ten niemoralny powrót
wrócę cały zdrowy jak z wojny
nie zamordowałem człowieka
nie jestem mordercą
miłość nienawiść przeszły obok

jest we mnie przestrzennie trochę
smołowato
mała bryła powietrza
jeszcze kilka lat temu
wątpiłem czy w jakiejś piersi z przesytu
powietrza kości mięsa i krwi
zmieści się serce

wracałem z prywatnego piekła
po jasnych płomieniach drutów
tramwajowych
po różowych nerwach wzroku
miałem zheblowaną twarz sumienia
dla potrzeb gestów brutalnych

wracałem z prywatnego piekła
bocznymi drogami
główne aleje moralnie zasłużonych
roiły się od czarnych kotów

jutro oszukam ciebie przyjacielu
przychodząc podając ci pięciokolczastą
rękę
tak realną że aż nie do uwierzenia
koniec naszej zabawy nie będzie
końcem świata.

Rys. J. Urbański

HOROSKOPY

Ważne od dnia 13 do 27 XII

BARAN
21 III — 18 IV

Nie nadużywaj alkoholu — teraz będziesz miał ku temu szczególnie wiele okazji. Niektórzy bacznie ciebie obserwują i czekają tylko na moment, kiedy nie powiedzie ci się w życiu. Na szczęście wszystko układa się pomyślnie, nie wpadaj jednak w euforię.

BYK
19 IV — 20 V

Zastanów się, czy gra rzeczywiście warta była przysłowiowej świeczki. Popełniłeś jedną niezręczność, która teraz mści się na tobie. Musisz po prostu bardziej uważać, nie należysz do ludzi, którzy potrafią zachować tajemnicę. Szczerość nie zawsze popłaca.

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Znowu masz nowe kłopoty, ale zbytnio się nimi nie przejmuj, bo w gruncie rzeczy sytuacja jest bardzo dobra. Zwróć jednak baczniejszą uwagę na swoje zachowanie. Twój styl bycia nie wszystkim odpowiada. Jeśli teraz, w okresie świąt, możesz się spotkać z dawno nie widzianą rodziną, pilnuj się szczególnie.

RAK
21 VI — 22 VII

Wyjazd, który czeka niektóre osoby spod znaku „Raka", może obfitować w wiele wrażeń. Trzeba mieć się na baczności, aby zbytnio nie skomplikować sobie życia. Unikaj zobowiązań, zwłaszcza, że nie zawsze będziesz mógł dotrzymać tego, co obiecasz. Niekiedy gubi cię zbytnie zarozumialstwo. Przecież to wbrew twojej naturze! Po co się wygłupiać?

LEW
23 VII — 22 VIII

Tę sprawę lepiej będzie załatwić polubownie. Niczego nie wygrasz, a możesz mieć poważne kłopoty. Zwykleś stawiać sprawę na ostrzu noża. Gdybyś miał rację, nie byłoby to złe ale w twoim wypadku często bywa odwrotnie.

PANNA
23 VIII — 22 IX

Panuj nad nerwami, już tyle razy wykazywałeś niepotrzebne rozdrażnienie. Jeśli osoba spod znaku „Panny" pełni odpowiedzialne stanowisko, wówczas owo rozdrażnienie może bardzo wiele kosztować. Propozycja zmiany miejsca pracy interesująca, ale działaj tak, jakbyś nie był w gorącej wodzie kąpany.

WAGA
23 IX — 22 X

Nie ma żadnych wątpliwości — to była twoja, wyłącznie twoja wina. Musisz odczekać, pamięć ludzka nie jest aż tak wielka, jak sądzisz. W domu podejrzewają cię, że te wyjazdy, które sobie organizujesz, mają zupełnie inne podtekst y. Zastanów się nad tym i ewent. wyjaśnij sprawę. Lepiej to zrobić jak najszybciej.

SKORPION
23 X — 21 XI

Są tacy, którzy uważają, że zachodzisz im drogę i bierzesz się za sprawy, które nie do ciebie powinny należeć. Z uwagi na swoją funkcję musisz postępować szczególnie ostrożnie, bo posądzenia o prywatę mogą być bardzo bolesne.

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Zachowujesz się niekiedy, jak szczeniak i przez to dobra passa, którą obecnie w swoim życiu odczuwasz, może się załamać. Pamiętaj, że lata lecą i to, co uchodziło ci, dajmy na to, w 1978 r. dziś nie uchodzi wcale. Generalna rada: więcej przemyśliwań w postępowaniu na co dzień. A ta znajomość, która tak się ostatnio rozwinęła, może ci jeszcze przynieść sporo kłopotu. Miej to na uwadze!

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

No i widzisz do czego doprowadziła twoja nieuzasadniona zazdrość? Jeżeli nie zmienisz swojego postępowania, możesz tego żałować do końca życia. W pracy układa ci się pomyślnie, ale niektóre osoby spod znaku „Koziorożca" powinny więcej uwagi poświęcić samokształceniu. Wiedza się starzeje!

WODNIK
21 I — 18 II

Masz słaby charakter, dałeś się niepotrzebnie namówić i teraz tego żałujesz. Musisz zachować dużo taktu, aby wykazać, że wcale nie jesteś taki, za jakiego cię uważają. Tzw. okazji, których ostatnio aż za wiele, staraj się unikać, bo w przeciwnym razie twój dalszy awans może stanąć pod znakiem zapytania.

RYBY
19 II — 20 III

Zbytnia pokora nie zawsze wychodzi na zdrowie. Znasz swoją wartość, zacznij się wreszcie więcej cenić. Przeżywasz teraz aktywny okres swojego życia Wykorzystaj go właściwie.

Stella

Mikroklimat

Barbara Koś

MODA jest kapryśna jak kobieta, ale także jak ona despotyczna, bezwzględna i żądająca całkowitego podporządkowania się jej zachciankom. Ostatnio zapanowała moda na deptaki. Dep tak — to już nie tylko centralna ulica uzdrowiska, przeznaczona na powolne dreptanie kuracjuszy, popijających Zubera. Dep tak — jest to zamknięta dla ruchu kołowego główna arteria miasta. Każde większe i szanujące się miasto zapragnęło mieć więc swój deptak. Mało — posiadanie takiej właśnie promenady uważa się obecnie za punkt honoru, za dowód autentycznej wielkomiejskości. Pozazdrościł tego szyku, owej grandnobilitacji i Radom. Równo w pierwszą rocznicę nadania mu wojewódzkiej rangi zamknął podwoje ulicy Żeromskiego. Niech tam w świecie, a zwłaszcza w brzydkich Kielcach (zyg! zyg!) widzą, że i nas, radomiaków, stać na swój własny, radomski deptak.

Przed laty, kiedy gród Radomira był pomiatowym Kopciuszkiem grona postępowych Polaków pokryło prospekt Żeromskiego asfaltem, żeby samochody nie trzęsły się na poszczerbionej i śliskiej kostce. Założyło nowoczesne oświetlenie, żeby wszystkim wieczornym kierowcom jechało się jak w dziennym blasku. Wymalowano jezdnię, aby przekorni przechodnie wchodzili pod koła wyłącznie na pasach. Ulicę Żeromskiego podporządkowano więc Złotemu Cielcowi, którym był Pojazd. Ze względu na ciasnotę ulicy Marchlewskiego projektowano połączenie ulicy Batorego z Mickiewicza, by z dawnej Focha wyeliminować ruch kołowy.

Dziś tylko naiwne dziecko dociekliwie zapyta: a po co nam to było? Dorosły i świadomy swoich praw i obowiązków obywatel wie, że przede wszystkim nie należy zadawać głupich pytań. Dlatego cierpliwie będzie czekał na wszystkich zebrach ulicy Waryńskiego. Lojalny obywatel postoi sobie na takich samych pasach ulicy Marchlewskiego — zwłaszcza w pobliżu Placu Zwycięstwa i kiedy sznur samochodów przewali się wreszcie na Kellesa Krauza, pomyśli cichutko, że ulica Marchlewskiego posiadała do tak niedawna jeszcze ruch jednokierunkowy, a dziś ma ruch ze stron obu, że autobusy WPMK pieszczotliwie ocierają się o siebie, a nierzadko o chodnik i tego stojącego lojalnego obywatela, co powoduje literacki dialog kierowcy „siódemki" z kierowcą „czternastki": Gdzieś wlazł, ty mamałuno jedna, myślisz, że ja to bydło wiozę, nie ludzi?! Ale grunt, że mamy d e p t a k. Dogoniliśmy europejską czołówkę.

Inna sceneria ulicznego ruchu zachęca do tworzenia ulicznych kafejek pod parasolami — entuzjazmują się jedni. Kawiarzyści, czy barki miałyby powodzenie, a do tego kilka stolików na świeżym powietrzu — idą w sukurs drudzy. Można by znakomicie wypocząć po pracy! Cóż, nie pozostawałoby nam nic innego, jak wybrać się spacerkiem na deptak, zasiąść pod parasolem kafejki — i wdychać rześkie powietrze, zdrowe, orzeźwiające, wolne od zapachu spalin, radować oko urokiem eleganckich, barwnych, odnowionych secesyjnych kamieniczek oraz bujnym pasem soczystej trawy... Ale po co zaraz aż kawiarenka pod gołym niebem? Wystarczy spocząć na moment na jednej z kilkunastu zielonych ławeczek, ustawionych w centrum deptaka. — I jak na prawdziwy kurort przystało (deptaki są mimo wszystko ich domeną) — zaciągnąć się pełną piersią czystym powietrzem. Kchn... kchn... — oj, ostre jest to powietrze! Bo samochód, który przywiózł właśnie towar do pobliskiego sklepu, nie zgasił silnika na czas postoju i zanieczyszcza powietrze skuteczniej niż samochody w ruchu. Na ulicę Żeromskiego ma prawo wjechać 100 takich samochodów dostawczych, nie licząc tych, które macierzyste garaże mają w podwórkach przy głównej ulicy. Tak więc skażone z lekka powietrze wdychamy nadal. Ze ścian kamieniczek sypie się jednak nie ozon, ale kurz, pył, grudki wapna. Renowacja domów, rozpoczęta w tempie kosmicznym, weszła w stan nieważkości i bezwładu.

Powietrze unoszące się nad radomskim deptakiem tworzy więc nie klimat, sprzyjający poobiedniej rekreacji, ale swoisty mikroklimat. Nasycony pozorami budowy, znamionującej jednak tzw. niemożność. Gwoli ścisłości zaznaczyć należy, że część deptaka — ta od strony gmachu ZEOW do wylotu Słowackiego — jest już odnowiona. Ale tamtędy tłumy nie chodzą. Samotne stoją ławeczki. Tu ulica sprawia wrażenie dzwonu, z którego wyjęto serce. Czy Radom jeszcze za życia należało zmumifikować?

Czy zatem ta druga, bardziej uczęszczana część ulicy Żeromskiego, podzieli los znanego wszystkim i budzącego litość i zgrozę budynku, sąsiadującego z Liceum Medycznym? Czy ma stać się drugim, po szczątkach teatru, wojewódzkim Collozeum?

A pośród tego swojskiego mikroklimatu deptaka my — pod kolorowym parasolem, w malutkiej kafejce, przy pepsi... Jak w Krynicy, Kudowie, Nałęczowie... Chyba za wcześnie zrobiono z ulicy Żeromskiego Nałeczów. A może wyhodujemy przy tej okazji prawdziwego Żeromskiego? Zrodzonego z bojów o ten radomski deptak?

OD REDAKCJI: Szkoda, że autorka nie była poprzednio w Lublinie, gdzie na podobny deptak usiłowano zmienić Krakowskie Przedmieście. Lubelski „eksperyment", jak wynika z odpowiedzi władz miejskich na liczne interpelacje, może być wznowiony z początkiem lata przyszłego roku. Projektodawcom polecamy więc szczególnie uważną lekturę powyższego tekstu.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Sprzedaż żony. „Sud. Wiestn." przytacza dosłownie, ze wszelkimi omyłkami gramatycznymi, umowę między urlopowanym podoficerem Karpem K-kiem a urlopowanym feldweblem Konstantym W-kiem o sprzedaż żony. Pierwszy z nich odstępuje swą prawą żonę drugiemu na własność (na wiecznoje jeju władienije) za 20 rs., gdyby zaś chciał ją w przyszłości odebrać, zobowiązuje się wpłacić W-kowi 200 rs. Umowę spisano przy dwóch świadkach...

•

Dwa dłuta krzemienne znalezione zostały na gruntach W. Obniskiego w folwarku Wiktoryn pod Lublinem. Jedno z nich, złożone w Redakcji „Kuriera Lubelskiego", ma po sobie słoje przypominające słoje drzewa, tak jak gdyby było istotnie drzewem skamieniałym.

— Panu S. W. L. Dłuto krzemienne nie jest do nabycia.

•

Uniwersytet Warszawski na posiedzeniu odbytym w dn. 12 bm. udzielił dyplomy lekarskie 33 swoim słuchaczom. Między ich nazwiskami spotykamy kilku lublinian: znajduje się również nazwisko p. Wojciecha Paciejewskiego, który dał rzadki przykład wytrwałości i samopomocy. Będąc znanym w Lublinie jako zdolny chirurg, w 42 roku życia rzucił swą chlebodajną praktykę, i mimo możliwej na utrzymanie licznej rodziny pracy, zapragnął posiąść wyższe specjalne wykształcenie. Złożył więc egzamin z nauk gimnazjalnych, udał się następnie na kursa medyczne i dzisiaj po latach kilku witamy go w naszym mieście jako lekarza.

•

Japończycy zwracają uwagę na najmniejszy drobiazg, mogący mieć wpływ na istotny rozwój umysłowy dzieci. Oto np. wyrabianie zabawek dziecinnych poddane jest w Japonii najsurowszemu nadzorowi i kontroli władz wychowania publicznego. I bardzo słusznie, gdyż zabawka nieraz większy miewa wpływ na umysł dziecka, niż najefektowniejsze dzieło na umysł człowieka. Ciągłe zaś używanie pewnego rodzaju zabawek może najzupełniej zmienić charakter dziecka, a już co najmniej wyrobić te lub owe skłonności, przedtem uśpione. Wychodząc z tej zasady, Japończycy nie dają dzieciom do zabawy żadnych karabinków, sztyletów, pistoletów, pałasików, armatek i w ogóle zabawek przypominających jakikolwiek rodzaj broni. Natomiast chętnie dają zabawki przedstawiające narzędzia rolnicze, budowle, a już najchętniej rozmaitego rodzaju latarnie.

„Kurier Lubelski"

PRZED 50 LATY

Wiadomo, że obok pracy jedyną drogą do zebrania bogactw dla wszystkich dostępną jest oszczędność. Owe drobne kwoty, które wielu tak łatwo wydaje, zebrane skrupulatnie stanowią sumy zdumiewające. Wiadomo nie mniej, że mnóstwo kupców handlujących przedmiotami zbytku nie na bogatych kundmanach najgłówniej opiera swą egzystencję, ale właśnie na tych, którzy najbardziej oszczędzać by powinni. Lecz chcąc się oszczędzać nauczyć trzeba się do tego zaprawiać od dzieciństwa. Jednym z najlepszych sposobów ku temu jest książeczka oszczędności wcześnie dziecięciu kupiona, do której by samo od czasu do czasu dokładało pieniężne dary otrzymywane od rodziców, zamiast je wydać na przysmaczki lub fraszki.

•

Zasadniczą podstawą fizycznego zdrowia i pogody umysłu jest zdrowy, odporny i zahartowany organizm. Bardzo wiele z nowoczesnych niedomagań i chorób szerzących się wśród pracowników intelektualnych i biurowych, ma swoją przyczynę w niewłaściwym dla organizmu trybie życia, ponieważ ludzie ci spędzają po kilkanaście godzin dziennie w pozycji siedzącej, pochyleni po kilkanaście godzin dziennie nad aktami w ciasnych, niehigienicznych ubikacjach.

„Głos Lubelski"

Wybrała
Zofia Luchowska

kultura 1976

FILM

■ No i nareszcie mamy w Lublinie „Trędowatą". Kto policzy, ile westchnień poleci do nieba, a ile też spadnie na podłogę kina „Kosmos"? Bilety sprzedawano już na kilka tygodni naprzód.

■ Maja Komorowska ma u nas wielu wielbicieli. A jednak od dwóch lat nie wystąpiła w żadnym filmie i na to się w najbliższym czasie nie zanosi. Czyżby dla tego, że jej kariera przebiegała nietypowo? Chciała zostać lekarką, potem była pielęgniarką, uprawiała lekkoatletykę i gimnastykę artystyczną, potem zajęła się lalkarstwem i dopiero po zdaniu egzaminu eksternistycznego zadebiutowała na krakowskiej scenie „Groteska".

■ Także okólną drogą trafił do filmu jeden z najlepszych radzieckich reżyserów młodego pokolenia — Gleb Panfiłow, już laureat kilku międzynarodowych nagród. Ukończył studia chemiczne i jako inżynier pracował w Swierdłowsku nad antybiotykiem erytromecyną. Po obejrzeniu „Lecą żurawie" Kalatozowa zorganizował grupę filmowców - amatorów i dopiero potem ukończył najpierw studia operatorskie, a następnie reżyserskie. Ale w ZSRR zdolni ludzie nie próżnują. Niedawno ukończył „Proszę o głos", już kończy scenariusz o rewolucji lutowej 1917 roku i drugi o Joannie d'Arc, w zamyśle temat o miłości i sztuce w dniu dzisiejszym.

■ We Francji specjalistą od dialogów filmowych jest Michel Audiard, m. in. autor dialogów do 22 filmów, w których grał zmarły niedawno Jean Gabin. Oto jedna z jego opinii: „Gdy reżyser mówi o „swoim" filmie, to mnie po prostu śmieszy: nie on to napisał, nie on zagrał, nie skomponował muzyki ani nie wykonał zdjęć, a jednak to „jego" film. To niepoważne. Pisanie scenariuszy mnie nie pociąga. Sądzę, że każda historia jest dobra, byle była dobrze zagrana i miała wartki dialog". Znawcy twierdzą, że teraz Audiard będzie miał trudności ze znalezieniem zatrudnienia.

LITERATURA

■ Leon Wantuła, górnik kopalni „Chwałowice", jest bardzo pracowity. Właśnie ukończył powieść pt. „A pod niebem lato" — o kobietach w życiu społecznym ROW. Kończy zaś następną powieść pt. „Miłości pełna czara" — o roli wojska w życiu ROW. Obie ukażą się w połowie przyszłego roku. Ponadto przygotowuje trzecią powieść, tym razem o adaptacji do życia ludzi niewidomych.

■ „Jak zdobyć męża czyli skok stulecia" — oto tytuł książki, którą napisała gdańska aktorka, malarka i pisarka w jednej osobie — Lucyna Legut. Druga ma tytuł „Szyfon na suknię ślubną". Obie ukażą się wkrótce nakładem Wydawnictwa Morskiego.

■ Najcenniejszą we Francji nagrodę literacką Goncourtów otrzymał 29-letni nauczyciel Patrick de Grainville za powieść (czwarta z kolei) — „Les Flamboyants" (nazwa drzewa tropikalnego). Jest to coś w rodzaju westernu o Afryce, ale zarazem próba syntezy zmian, które następują obecnie na tym kontynencie. Nagroda wynosi zaledwie 50 franków (około 10 dolarów), ale gwarantuje taki sprzedany nakład, że autor otrzyma ostatecznie około 300 tys. franków.

OPINIE

■ „Wydaje mi się, że nie powinno się już rozróżniać literatury i literackich dokonań jedynie na podstawie miejsc zamieszkania poszczególnych pisarzy i na podstawie przynależności do lokalnych skupisk pisarskich. Rozróżnienie to doprowadza u nas do szeregu niesprawiedliwości w ocenie prawdziwie wartościowej mapy dokonań literackich, do fałszywego osądu jakoby jedynie środowiska warszawskie czy krakowskie stanowiły ściśle centra literatury i sztuki". (Lothar Herbst — „Nadodrze" nr 24).

■ „Konserwator dzieł sztuki kojarzy nam się z zaciszną pracownią, z pędzlem i paletą. Nie domyślamy się nawet, jak swobodnie musi się on czuć w laboratoriach chemicznych i pracowniach fizycznych, jak sprawnie powinien operować igłą i skalpelem (na jedno jego przesunięcie składa się często kilkaset ruchów), zanim wolno mu będzie w ostatniej fazie pracy nad dziełem wyzwolić z siebie artystę". (Krystyna Kurczab — „Przekrój" nr 1651).

■ „Niejedna pani Kowalska niczego nie zarzuca argumentacji uzasadniającej oszczędność w ogóle. Owszem, szczerze przyznaje, że oszczędzać trzeba. Oszczędzać powinni wszyscy — ale dlaczego ja?". (Joanna Sabiłło — „Zwierciadło" nr 48).

■ „Nie jest też przypadkiem, że właśnie w Polsce zrodzony został pierwszy systematyczny zarys ogólnej teorii „dobrej roboty" — nauki o prakseologii, rozpatrującej czyny ludzkie z uwagi na ich skuteczność, sprawność i walory twórcze. Nauka ta — której powstanie zawdzięcza świat prof. Tadeuszowi Kotarbińskiemu — znajdowała oparcie we wcześniejszych impulsach intelektualnych, zrodzonych na polskim gruncie, takich jak publicystyka Bolesława Prusa, filozoficzne idee Kazimierza Twardowskiego czy twórczość wybitnego inżyniera - organizatora Karola Adamieckiego". (Marek Jaworski — „Trybuna Ludu" nr 282).

PLASTYKA

■ Bez specjalnej okazji, po prostu dlatego że zasłużyli, siedmioro plastyków lubelskich zostało wyróżnionych złotymi odznakami Związku Polskich Artystów Plastyków. Są to: Zygmunt Bartkiewicz, Joachim Kosiorkiewicz, Eugeniusz Pol, Karol Skaruch, Joanna Szydłowska, Aleksandra Wachniewska i Henryk Zwolakiewicz. Serdecznie gratulujemy.

■ Kto w najbliższych dniach będzie w Łodzi, niech pobiegnie do sali wystawowej przy ul. Piotrkowskiej — jest tam czynne I Ogólnopolskie Triennale Satyry. 53 autorów wystawia tam rysunki humorystyczne i karykatury społeczno - polityczne. Rzeczy nowych jest raczej mało, są to prace, zamieszczane poprzednio w prasie, ale przecież nikt nie mógł oglądać wszystkiego. Pierwszą nagrodę jury przyznało Grzegorzowi Szumowskiemu, drugą Edwardowi Lutczynowi. „Szpilki" wyróżniły Piotra Chroboka, a „Karuzela" Marka Kameckiego.

■ 85-letni Teofil Ociepka, najwybitniejszy z naszych malarzy-prymitywistów, wciąż maluje w Bydgoszczy. Najczęściej, jak to u niego, przedstawia świat baśni, często magii. Ale ostatnio namalował także „Pejzaż wiejski" — polana, na niej kobieta z wiadrem i dwie krowy, przy jednej cielątko, wieś, rzeczka, ale w dali tajemnicza puszcza. Niezależnie od malowania czyta dużo literatury popularno-naukowej, dwie gazety oraz słucha wszystkich dzienników radiowych i telewizyjnych.

RÓŻNE

■ W roku bieżącym ukazało się już w naszym kraju 1600 publikacji o charakterze społeczno-politycznym. Jak podają wydawcy, 80 proc. ogólnych nakładów rozchodzi się w roku wydania, co poza niektórymi krajami socjalistycznymi jest zjawiskiem niespotykanym.

■ Malarz i grafik radziecki Edward Koczar jakiś czas był uczniem i przyjacielem Picassa. Gdy raz zapytał go, czego właściwie szuka on w sztuce, Picasso odpowiedział: ja nie szukam, ja znajduję.

■ Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że w Piwnicznej koło Nowego Sącza istnieje koło dramatyczne. Ale niezmiernie rzadko zdarza się, aby w 40 rocznicę istnienia koła sztukę Zapolskiej „Zabusia" reżyserował ten sam człowiek, co przed 40 laty — Kazimierz Życzkowski.

■ W Nowym Orleanie powstaje film „Gwałtowny sztorm" — inwazja ogromnego roju pszczół afrykańskich na Luizjanę. Reżyser Bruce Keller robi wszystko, aby zdobyć przynajmniej milion żywych pszczół tego gatunku.

TEATR

■ W dniach od 3 do 7 kwietnia przyszłego roku odbędzie się w Szczecinie XII Ogólnopolski Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form. Celem Przeglądu jest konfrontacja poszukiwań literackich i formalnych oraz osiągnięć aktorów zawodowych w zakresie kameralnych form teatralnych. Przegląd obejmuje programy stanowiące integralną całość artystyczną (np. jednoaktówki, programy poetyckie, publicystyczne i inne). Monodramy i spektakle wieloosobowe traktowane będą jednakowo jako zamknięta całość artystyczna. Na nagrody przewidziano 60 tys. zł. Zgłoszenia należy nadsyłać do 10 stycznia 1977 r. pod adresem: Komitet Organizacyjny, Szczecin, Plac Żołnierza 2 — Klub „13 muz".

■ Obecny sezon teatralny w Polsce powinien przynieść według zapowiedzi wystawienie 350 sztuk (450 premier) napisanych przez 240 autorów. Polska dramaturgia współczesna będzie reprezentowana przez 78 sztuk, w tym 26 prapremier. Naszą klasykę będą reprezentować 73 sztuki. Z pozycji zagranicznych — 59 premier 39 sztuk pisarzy radzieckich oraz 47 sztuk zachodnich. W tym ostatnim dziale prym wiedzie Szekspir — 21 naszych scen zapowiedziało łącznie wystawienie 14 jego dramatów.

■ Słynny krakowski kabaret „Piwnica pod Baranami" obchodził 30-lecie działalności sesją naukową na temat zdania Pascala: „Jedyna rzecz, która nas pociesza w naszych niedolach, to rozrywka — a wszelako to jest największa z naszych niedoli, ona głównie przeszkadza nam myśleć o sobie i gubi nas niepostrzeżenie". Oczywiście sesja, jak wszystkie programy, także „szargała świętości". Kabaret ten nie potrzebuje reklamy, ale kto pojedzie do Krakowa, niech pamięta o ostrzeżeniu w programach, że „występy w każdą sobotę i niedzielę o 22,30, albo o 22,45, albo grubo po 23,00, albo wcale — w zależności od tego, czy artyści „Piwnicy" zdążą na czas z innych miejscowości, czy też nie zdążą wcale".

WYZNANIA

■ „Zwięzłość i obrazowość odróżniają prawdziwego twórcę od rzemieślnika. Ale to także nic nie znaczy, albowiem można być wspaniałym poetą nie napisawszy ani jednego wiersza. Tutaj w Erywaniu, zaprzyjaźniłem się z inżynierem Grigorem Gurzadjanem, specjalistą od badań kosmicznych. Długo i z ogniem w oku usiłował mi wytłumaczyć cel swoich dociekań naukowych, a ja nic z tego nie mogłem pojąć, ponieważ celem moich poszukiwań jest dusza ludzka, zaś jego przestrzeń międzygwiezdna. Ale ponieważ obaj jesteśmy poetami, znaleźliśmy wreszcie wspólny język". (William Saroyan — pisarz amerykański).

■ „Spośród wszystkich rodzajów ucisku, ucisk w kroku wydaje się najdotkliwszy (...) Ktokolwiek leczył się u dobrego lekarza, np. u dra Różyły juniora, albo u dra Wałaszewskiego, ten wie, że obcisłe dżinsy nie tylko niczego nie obniżają, ale wręcz przeciwnie — podnoszą". (Daniel Passent — „Polityka" nr 48).

■ „Niepokoi fakt, że piosence przypisuje się zbyt wielkie znaczenie, że ma ona taką władzę nad młodymi. Nie czuję się upoważniony do narzucania mego sposobu widzenia, mych poglądów odnośnie miłości na przykład, chociaż — przed 7 laty zaśpiewałem „Mam zaszczyt nie prosić o twoją rękę" i wielu młodych uznało, że skoro „gruby" — jak mnie wtedy nazywano — radzi, by „nie drukować razem naszych imion" — to lepszy jest wolny związek. Stałem się więc ostrożniejszy". (Piosenkarz francuski Georges Brassens).

■ „Ob. St. K. nabył jedną drugą litra i udał się do szaletu miejskiego, żeby sprawunek spożyć. Szalety publiczne mają w takich razach wady i zalety. Wadą jest, że za wstęp obowiązuje opłata, chociaż umiarkowana. Zaletą zaś, że wódkę można tu spożyć w warunkach kulturalnych: w czystości, cieple, samotności i na siedząco". (Jerzy Kibic — „Kulisy" nr 48).

noty i notki

Otrzymałem ostatnio rachunek telefoniczny, sporządzony przy pomocy komputera — jak mówi zbyt chyba często eksponowany w telewizji dyrektor Kozienic. Otóż rachunek ten nie tylko nadszedł tydzień później, niż sporządzany poprzednio ręcznie, ale ponadto jest wypisany na papierze dosłownie siedem razy większym i o trzy klasy lepszym. I mimo najszczerszej woli nie mogę tej operacji nazwać usprawnieniem, wygląda ona natomiast na rozrzutność.

W Sądzie Rejonowym w Lublinie rozpoczął się proces o nadużycia w hotelu „Unia". Donosząc o tym „Kurier Lubelski" (nr 266) tak twierdzi: „Sztandar Ludu i Kamena pisały swego czasu"... Aby oddać sprawiedliwość prawdzie należało jednak napisać: „Kamena i Sztandar Ludu"... — jako że nasza publikacja ukazała się kilka tygodni wcześniej.

„Matka polskiego radiowego reportażu literackiego" nazwał Aleksander Małachowski („Kultura" nr 48) Krystynę Melion, którą — zresztą wbrew niej samej, a w zgodzie z prawidłami języka polskiego — nazywa Melionową. Chyba co do owego „matkostwa" (patrz: ojcostwo) można się sprzeczać, natomiast jednoznaczne jest to, iż Małachowski w całym felietonie udowadnia, że to on właśnie wykształcił i wychował panią Melion(ową). Potwierdza to nawet w ostatnim zdaniu: „Niech jednak i ja mam coś z cudzych sukcesów". Hm, chwalenie się cudzymi sukcesami to też nowe zajęcie w naszej publicystyce czy nawet felietonistyce.

„Nic tak nie mobilizuje stróżów porządku publicznego, jak gwałt, w dodatku gwałt z rabunkiem i okaleczeniem" — (wierdzi Stanisław Dan w „Życiu Literackim" (nr 48) I opisuje historię pewnej warszawskiej nauczycielki, która o takich na sobie popełnionych przestępstwach powiadomiła MO. Na rozwikłanie tej sprawy stróże bezpieczeństwa stracili, jak to dokładnie wyliczył autor, 13 771 godzin i okazało się, że wszystko było mistyfikacją. Koszta MO, nie licząc blokady całego miasta, wyniosły 344 825,94 zł. Za fałszywe doniesienie sąd skazał nauczycielkę na 2 lata więzienia z zawieszeniem na 5 lat oraz 12,5 tys. zł grzywny i kosztów procesu. Najbardziej w całej sprawie intrygują mnie owe cztery grosze, a nie dziwny wyrok sądu. Bo gdyby np. nauczycielka zdefraudowała 344 tys. zł? Ho, ho...

Cudownym noworodkiem okazał się Zdzisław Kowalski. Swoje wspomnienia pod przesadnym tytułem „Nazywają mnie Puszkinem" („Literatura" nr 48) tak oto zaczął: „Za chwilę młoda, ładna i zgrabna niemiecka pielęgniarka, z którą dzisiaj oczywiście chętnie bym się przespał..." A rzecz działa się w marcu 1945 roku, gdy ówże Zdzisław Kowalczyk się rodził. Podziwiam zarówno jego ówczesną spostrzegawczość, jak i dzisiejsze ciągoty.

Redaktor naczelny wrocławskiego tygodnika „Wiadomości", Władysław Bielowicz, wydał niewielką, ale cenną książeczkę pt. „Anegdota wrocławska". Jest ona niezmiernie rzadko spotykanym u nas, a przecież niezwykle cennym świadectwem obyczajów, charakterystyką wybitnych ludzi „od kuchni" pamiątką czasem ciekawszą od oficjalnych wystąpień. Bielowicz w „Wiadomościach" nadal drukuje takie anegdoty, pracowicie wygrzebywane z własnej i cudzej pamięci. W ostatnim (48) numerze zamieszcza np. taki dwuwiersz znakomitego malarza Eugeniusza Gepperta: „Gdy malarze są do d... to się wtedy łączą w grupy". Nie wiem, jak tam z malarzami lubelskimi, ale mocno namawiam inż. H. Gawareckiego, aby zabrał się do „Anegdoty lubelskiej". To przecież także specyficzny zabytek.

W „magazynie" czyli na ostatniej stronie „Odgłosów" (nr 48) Jan Bąbiński wyznał szczerze, iż czuł się srodze zawiedziony po zwiedzeniu sułtańskiego haremu w Istambule. Niepozorne budynki, labirynt korytarzy, brak eunuchów i nic z „tych rzeczy". Trzeba było, panie Janie, pojechać do Istambułu przed rokiem 1926, w którym nakazano likwidację haremów.

Różni ludzie wiedzą różne rzeczy. Można jednak przypuszczać, że wśród czytelników „Kierunków" nie ma zbyt wielu znawców spraw dynastycznych Szkocji sprzed przeszło 400 laty. A jednak Janusz Stefanowicz twierdzi (nr 48), że „jak wiadomo, w 1566 roku królowa Maria urodziła następcę tronu, który"...

Coś mi się wydaje, że niezbyt wielu Polaków orientuje się nawet w krajowych sprawach dynastycznych, np. że Kazimierz Jagiellończyk był synem nie Jadwigi, ale dopiero czwartej żony Władysława Jagiełły, Zofii Holszańskiej. Ja bałbym się tu napisać: j a k w i a d o m o...

JOD

Kamena str. 14

ekran i widz

„Przepraszam, czy tu biją?"

Marka Piwowskiego znamy jako jednego z najlepszych polskich dokumentalistów, twórcę sięgającego po tematy istotne dla naszego życia społecznego, przedstawiającego je w sposób równie odważny i zaangażowany, co — kontrowersyjny. Jego krótkometrażówki, takie jak „Psychodrama", „Korkociąg" czy „Hair", zdobywały najwyższe nagrody na międzynarodowym festiwalu krótkiego metrażu w Krakowie, zarówno z uwagi na treść i formę, jak też ze względu na doskonałość warsztatową. Piwowski odświeża ciekawą zazwyczaj atmosferę krakowskiego festiwalu, zawsze młody, zawsze buntujący się, nie uładzony z otaczającym go światem i z przyjętymi w nim konwenansami.

Zresztą już w szkole filmowej etiudy Piwowskiego wyraźnie odbijały na korzyść od „produkcji" jego kolegów. Wtedy, w 1957 r., wysforował się daleko przed „peleton", zdobywając Grand Prix na Festiwalu Etiud w Amsterdamie za film o pobycie Kirka Douglasa w łódzkiej Szkole Filmowej oraz nagrodę na festiwalu w Moskwie za doskonałego „Muchotłuka". W tym samym roku, już jako „zawodowiec", Piwowski otrzymuje nagrodę w Tours we Francji za „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się".

Spojrzenie zawsze miał ostre, przenikliwe, skierowane na obyczajowe przedmieścia i manowce jak również na tzw. „margines" społeczeństwa Polaków, spojrzenie charakteryzujące się przy tym skłonnościami do satyryczno-groteskowych przerysowań. To właśnie powoduje, że często pomawia się Piwowskiego o złośliwość, o swoiste „małpiarstwo", ukazywanie problemów w sposób zbyt przerysowany i nawet nielojalnie — wobec bohaterów filmów — karykaturalny. I tak — niezwykle kontrowersyjny „Sukces", film o Niemenie, wzbudził zachwyt jednych, a uczucie niesmaku u innych; podobnie „Hair", rzecz o wielkim festiwalu (?) fryzjerskim; chociaż warsztatowej maestrii Piwowskiego nikt nie kwestionował. Zarzuca się Piwowskiemu, że w filmach jego zbyt mało jest „spojrzenia z góry", pierwiastka humanistycznego, a oceniając twórczość od strony „dziennikarskiej" — przyznaje mu się więcej cech doskonałego „reportera miejskiego" niż „wielkiego reportażysty". Ale to tylko tym bardziej świadczy o pozycji i popularności reżysera.

W pięć lat po niezbyt udanym debiucie fabularnym, jakim był „Rejs", Marek Piwowski zaprezentował kolejną propozycję: „Przepraszam, czy tu biją?", tym razem dramat kryminalny, albo — jak sam to określił — „historyjkę o milicjantach i złodziejach, opartą na sądowych aktach i dokumentach", zrealizowaną metodą paradokumentalną, a więc taką, w jakiej najlepiej się czuje.

Historia o napadzie warszawskich bandziorów — chuliganów na kasę warszawskich Domów „Centrum", zrealizowana w doskonałym tempie i ze znakomitym wyczuciem realiów stołecznego młodzieżowego marginesu społecznego" nie sprowadza się jednak tylko do zagadki „kto kogo przechytrzy" i w jaki sposób złoczyńca zostanie ujęty. Piwowski głównym problemem swojego filmu czyni problem etyczny: „Czy z przestępcami można walczyć metodami niezbyt czystymi, podstępem, oszustwem? Jakie są etyczne granice takiego postępowania?"

Dodajmy, że zadanie miał reżyser tym trudniejsze, angażując do filmu tylko „naturszczyków" (doskonała „kreacja" Jerzego Kuleja oraz niezawodna, jak zwykle — Jana Himilsbacha!), co zresztą sam film dobitniej „urealniło", ale i miało wpływ na zgubienie się niektórych niuansów. Ogromną zasługą Piwowskiego jest pokazanie pracy milicji w sposób nie wyidealizowany — jak dotąd najczęściej w naszych filmach bywało — ale otwarty, realistyczny, zwracający uwagę na blaski i cienie tego zawodu, a przede wszystkim chyba na tego zawodu — trudność.

Pozostaje tylko pytanie, czy przy ogromnym nagromadzeniu realiów, „scenek z natury", grepsów i gagów świadczących istotnie o dobrym rozeznaniu Piwowskiego w portretowanych środowiskach, nie rozłazi się trochę sama konstrukcja filmu i nie umyka uwadze widza ów naczelny problem etyczny? Ale to właśnie doskonały temat do dyskusji w długie, jesienne wieczory.

(md)

POCZTA LITERACKA

W. W. Bystrzyca Kłodzka. Dobrze Pani określiła swoje wiersze nazywając je ludowymi. Kto wie, czy nie zasługują one na to miano bardziej niż twórczość „oficjalnie" ludowa, zawierająca wiele utworów napisanych z chęci dorównywania poezji „normalnej". Jest w tym wiele szczerego poetyzowania, wiele momentów dostarczających satysfakcji. Trafi się czasem pogłos Leśmiana, jak np. w sformułowaniu: „Tylko gdzieś tam, w niepobliżu Jezus konał na swym krzyżu", widać śmiałość odseparowania się od nagminnie praktykowanych manier. Obawiam się jednak, że na tych wartościach swoją pieczęć położył czas i dziś są to tylko treści do wspominania. Wspominania tak wdzięcznego, jakim są Pani wiersze.

J. S. Kielce. Każda z ferowanych tez moralnych w Pana utworach wywołuje sprzeciw. Powiedziałbym nawet, że propaguje Pan filozofię cwaniactwa, niekiedy reweluje prawdy banalne i oklepane trywialną praktyką życiową. Ale też nie można powiedzieć, że tego złomu nie przetapia Pan na materiał, z którego powstają nowe narzędzia wyznaczania stosunku do świata. Jeszcze daleko im do precyzji, ale — o paradoksie — budzą zaufanie. Myślę, że warto być upartym.

P. T. R. Kraków. Przysłał mi Pan 28 wierszy. Owszem, nie mało. Ale czy wie Pan ile razy w nich użyty jest wyraz „wiersz"? Pan nie liczył, ja liczyłem. 29. Ile razy „poeta" („poezja")? 24. Ile razy „słowo"? 13. Proszę wyprowadzić średnią arytmetyczną. A teraz zadam pytanie: czy są takie skrzypce, które naśladują dźwięk skrzypiec? Samochód, którego rola polega na nabiciu licznika i zużyciu opon? „Wiersz" w wierszu jest czymś wstydliwym, redukuje poetę — doznający, kontemplujący podmiot — do grzyplórka schylonego nad kartką papieru. Powie Pan: a Broniewski? Tak, Broniewski napisał sporo o pisaniu. Ale wtedy, kiedy taka praktyka była czymś nowym, była forma auto-komentarza, wyznania. Nowości w pańskim wypadku to tylko ten rekord ilościowy. A szkoda, bo utwory zawierają to „coś", które zatrzymuje uwagę. Po cóż dodawać do tego manierę?

B. M. Rzeszów. Powiem otwarcie, bo z pewnością liczy Pani na rzeczowy odzew, a nie na grzecznościowy unik: bardzo to jeszcze nieporadne. Wykazuje niesprawność w operowaniu słowem, o jaka trudno by Pania posądzić, jeśli by chodziło o najnormalniejszą prozę. Czy wiersz ma polegać na mniejszym opanowaniu języka niż to, które widać w kilku zdaniach nadesłanego listu? Jeśli pisać wiersz to pisać gorzej, no cóż wybierać tę formę? Cóż. Praca nad opanowaniem języka — to przede wszystkim mam jako odpowiedź, choć — przyznam szczerze — wątpię, by się Pani do tej pracy wkrótce nie zraziła.

S. J. Ostrów Wielkopolski. Odnosi się wrażenie, że to nie opowiadanie, ale fragment powieści w dodatku wybrany na oślep, bez uwagi na to, by zamknął się jakaś konkluzja. Otworzył Pan zeszyt, przeprowadził przez kartki pewną ilość osób i wypadków nie dbając o to, czy wyniknie stąd jakaś sprawa. Nie chcę łopatologii, ale kiedy pojawia się pytanie „po co?" skierowane pod adresem autora, źle jest z tekstem.

E. W. Lublin. Proszę Pani, bardzo mnie Pani tą postawą ulela. „Odeszłam, byś poznał szczęście". Niech mi nawet ktoś zarzuci, że się staroświecko roztkliwiam, ale w tych kilku słowach jest sporo z człowieka. To nie życzenie wszystkiego najgorszego temu komuś, kto się okazał niewierny. To nawet ułatwienie mu odejścia — kosztem własnym. To jeszcze życzenie — na odchodnem. Z pewnością nieświadomie (podejrzewam młody wiek) trafiła pani w — no, nie za duże słowa — wartość, godność ludzką. Tym lepiej, że instynktownie. Co do literackiej strony wierszy, na razie jeszcze nie najlepiej. Ale nie z czego innego rodzi się poezja, niż z tego odszukania w sobie prawdy, poświęcenia, oddania siebie. Bo ja wiem, jak to nazwać? W każdym razie — dziękuję.

Z. L. Lublin. Wszystkie spostrzeżenia filozoficzne są trafne i ciekawe, ale wzięte oddzielnie. Natomiast całość jako utwór literacki rozlazł się. Porównałbym to do haftu tkanego pomysłowo, ale na tkaninie kiepskiej jakości. Obawiam się, że kiedy dojdzie do użycia haftowanej dzianiny, będziemy mieli wiązkę barwnych nici. Za bardzo to „wymyślne", za mało chce być obrazem rzeczywistego życia. Czytelnik musi być zaasekurowany naturalnością, nawet w dziwactwach. Jeśli mu się da choćby pretekst do nieufności, gotów odtrącić się nawet od tego, co zasługuje na aprobatę.

W. K. Biała Podlaska. Jestem Panu wdzięczny za chwile wzruszenia, jakie przyniosły mi Pana wiersze. Te trochę z narafki Asnyka, trochę z dzielnicy Broniewskiego. Dziś pisze się inaczej, ale jeśli zależy Panu na chętnym i przekonanym czytelniku, jestem nim.

R. R. Warszawa. Powrotu do tradycji nie ma. W sensie jej naśladowania. Nawet źle by o niej świadczyło, gdyby był, bo to by znaczyło, że pewien okres w literaturze nie spełnił się całkowicie i wymaga dopowiedzenia. Sytuacja oczywiście niemożliwa. Ale negowanie tradycji jest nierozumieniem ciągłości kultury. Gdybyśmy nie mieli Kochanowskiego w okresie renesansu, Krasickiego w okresie oświecenia, Mickiewicza w okresie romantyzmu, Wyspiańskiego w okresie Młodej Polski, nie znajdowalibyśmy się na obecnym miejscu w rozwoju. Nie byłoby Białoszewskiego bez Gombrowicza, Mrożka bez Witkiewicza itd. Nie dam się zagitować pańskiemu futuryzmowi 1976.

R. J. Zamość, W. G. Lublin, O. T. Radzyń Podlaski, B. S. Lublin, W. G. Grabowiec — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 25)

Poziomo: 3. wybitny ruski malarz z XIV–XV w., twórca słynnych ikon, 5. związek operacyjny wojsk, 8. twórca Robinsona Cruzoe, 11. renesansowy poeta związany z Lublinem, 12. opera Paderewskiego, 13. żyzna warstwa skorupy ziemskiej, 14. tytułowy bohater dramatu Słowackiego, 17. popularny maloobrazkowy aparat fotograficzny, 19. filmowy teatr, 20. nieodzowne części sanek, 21. przewód płynu lub gazu, 22. przepływa przez Cieszyn, 24. pod kranem, 26. imię twórcy baletu „Gajane", 27. wybitny norweski dramatopisarz, autor „Nory", 28. jednostka miary czasu, 29. tygodnik ilustrowany wydawany 1951—1969 w Warszawie, 31. wczesnowiosenny kwiat łąkowy, 33. ptak z rodziny krukowatych, 34. wielkie jezioro w Finlandii, 35. romantyczny poeta polski, autor „Janka Cmentarnika", 36. pracuje pod wodą, 37. rozbójnik morski, 38. poetka grecka z VII—VI w. p.n.e.

Pionowo: 1. masyw górski w Alpach na północ od jeziora Garda, 2. turecki „pan", 3. odmowa ręki panny, 4. poeta romantyczny nazywany lirnikiem mazowieckim, 6. brzozowe witki od Mikołaja, 7. rodzaj sera podpuszczkowego, 9. zwierzę domowe, 10. muza pieśni miłosnej, 15. autor „Sobola i panny", 16. święte księgi islamu, 18. puchar, kielich, 19. niska roślina drzewiasta, krzak, 20. przenosi płyny na wysokość, 23. autor „Fircyka w zalotach", 25. filozof polski, tłumacz „Uczty" Platona, 28. słynna rzeźba Michała Anioła, 29. dzieli izby, 30. miasto i wodospad z elektrownią wodną w Finlandii, 31. z gryki lub jęczmienia, 32. widowisko ze sztukami i tresurą zwierząt.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

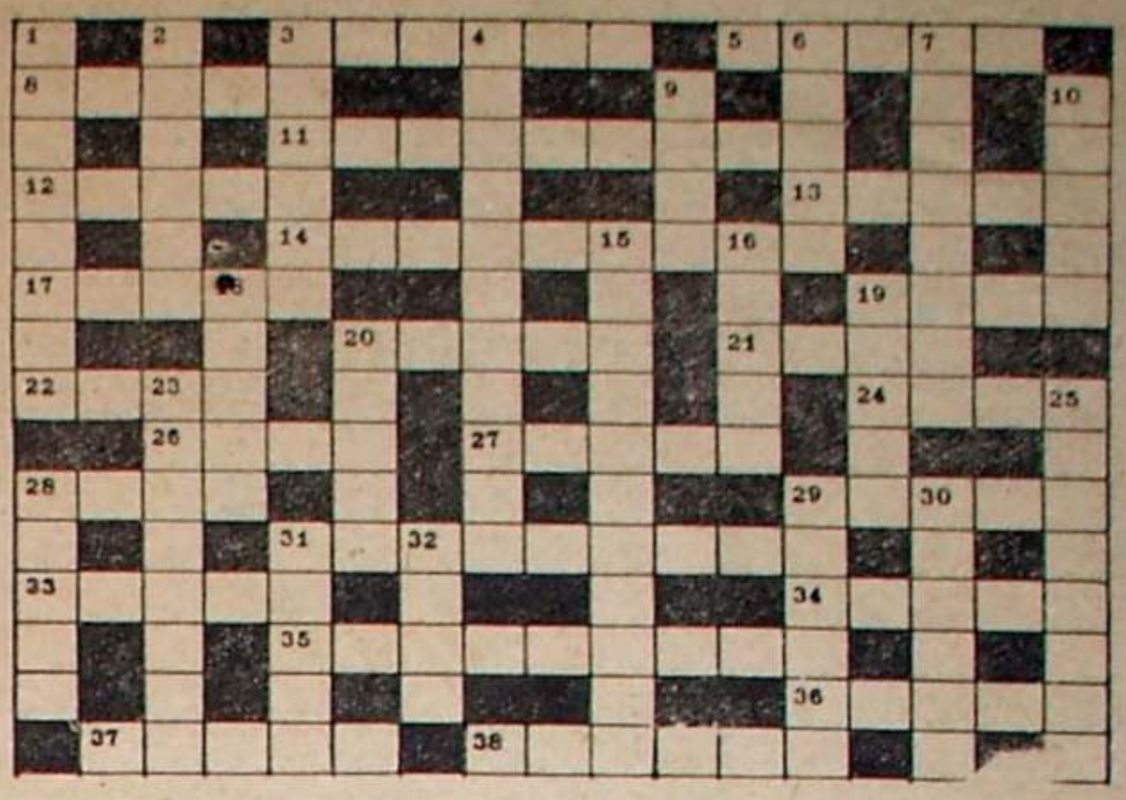

Rozwiązanie krzyżówki z nr 23: Poziomo: komediopisarz, renta, ester, garniec, Arianie, zakaz, start, lamperia, emocja, Fredro, ołtarz, Zemsta, Norwegia, pasta, Mrozy, Geldhab, gawrosz, Assam, impet, ferromagnetyk. Pionowo: redaktor, kanister, Mieczko, dotyk, obraza, Ifni, Aden, zbieracz, agent, alarm, młot, grom, Cezar, fonograf, Dawid, łapownik, retuszer, stygmat, Imbaba, Orson, litr, halo.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr. 23 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Adam Kędzior 20-247 Lublin, ul. Jedności Robotniczej 18 m. 44; Tadeusz Kwasik 24-100 Puławy, ul. Dwudziestolecia PRL 20 m. 26; Krystian Winkler 45-363 Opole, ul. Kraszewskiego 29 m. 6; Mirosław Wróbel 21-300 Radzyń Podlaski, ul. Ostrowiecka 4.

listy do kameny

„CO ROBIĄ ARCHITEKCI?"

W związku z publikacją T. Jasińskiego „Co robią architekci?" („Kamena" nr 23 z br.) chciałbym uprzejmie zapytać, kto zadecydował o tak skromnej wysokości hotelu „Unia" w Lublinie, obiekcie zamykającym perspektywę Krakowskiego Przedmieścia?! Właściwie inaczej: obiekcie, który powinien zamykać tę perspektywę, stanowić wertykalny akcent tego rejonu miasta. W obecnej postaci „Unia" nie pełni tej funkcji jest ledwo dostrzegalna z odległości. Tym samym zmarnowano chyba znakomite miejsce, które swoimi naturalnymi walorami nie ma bodaj równych w Lublinie.

Ponadto chciałbym dowiedzieć się, dlaczego hotel „Victoria" zlokalizowano przy skrzyżowaniu szalenie ruchliwych ulic, co pobyt w tym akustycznym budynku zamienia w udrękę. Powstaje też problem, jak w przyszłości rozwiąże się tłok samochodów na tym skrzyżowaniu. Obecność „Victorii" skutecznie dyskwalifikuje próby jakiejś zdecydowanej interwencji w istniejący układ komunikacyjny.

Adam Zwierzyński
Lublin

P.S. Byłoby chyba na miejscu, gdyby na te pytania odpowiedziały władze architektoniczno-urbanistyczne Lublina.

NARTY NA ROZTOCZU

Na Roztoczu, w okolicach Szczebrzeszyna i Biłgoraja, znajdują się zupełnie dobre tereny do uprawiania sportów zimowych. To znana sprawa. Ale te piękne urozmaicone pofałdowania nie są wykorzystane, choć od dawna mówi się o celowości urządzenia w tych okolicach ośrodka narciarskiego, przeznaczonego przede wszystkim dla turystów. I na tym się kończy, a amatorzy nart muszą szukać szczęścia w Tatrach czy Karkonoszach. Tymczasem bez większych nakładów, głównie wysiłkiem społecznym, można by na Roztoczu wznieść jakąś bazę i wyznaczyć trasy narciarskie. Sam chętnie wezmę udział w ewentualnej akcji, mającej to właśnie na celu.

Wojciech Zabłocki
Zamość

TWÓRCZOŚĆ LUDOWA

W 24 numerze „Kameny" znalazłam cztery strony „Ziemi i Pieśni", dodatku poświęconego twórczości ludowej. Cenię tego rodzaju sztukę, najchętniej kontaktując się z rzeźbą. Ale niepokoi mnie jedno: że Stowarzyszenie Twórców Ludowych rozwija się liczebnie. Wygląda na to, że takich artystów ciągle nam w kraju przybywa! Tymczasem wiadomo, że autentyczna poezja i plastyka chłopska wyrosła w określonej sytuacji kulturowej, żywiła się specyficznymi mitologiami, które jeśli nie odeszły, to zdecydowanie odchodzą w przeszłość. W tej sytuacji nasuwa mi się przykre podejrzenie, że kryteria stosowane w obrębie sztuki ludowej stały się nadmiernie elastyczne, a poza tym organizatorzy całego ruchu hołdują zasadzie „im więcej, tym lepiej". A może się mylę?

Janina Kolczyńska
Kielce

ZA MAŁO PRASY

W nadziei, że list ten przeczytają kompetentne osoby, informuję o słabym zaopatrzeniu w gazety jedynego kiosku „Ruchu" w osiedlu im. Prusa na LSM. Już teraz mieszka tam kilka tysięcy osób, więc sprawa nie jest taka błaha. O ile wiem, kioskarka nie ma żadnego wpływu na poprawę tego zaopatrzenia. Co na to oddział miejski „Ruchu".

Aniela Zybek
Lublin

KONKURS

Koło Naukowe Polonistów UMCS i redakcja „Kameny" ogłaszają konkurs na pracę historyczno- lub krytycznoliteracką (esej, szkic, rozprawa, recenzja pod hasłem „Nasze spojrzenie na literaturę polską". W konkursie mogą wziąć udział wszyscy, którzy — nie będąc w tej dziedzinie profesjonalistami — próbują piórem dać wyraz swym przemyśleniom na temat dawnej i współczesnej literatury polskiej. Szczególnie serdecznie zapraszamy do udziału w konkursie studentów.

Objętość pracy nie może być większa niż 10 stron maszynopisu. Prace (nigdzie przedtem nie publikowane) opatrzone godłem należy nadsyłać do dn. 31 marca 1977 r. pod adresem:

Koło Naukowe Polonistów
Uniwersytet Marii Curie — Skłodowskiej w Lublinie
Instytut Filologii Polskiej
ul. Nowotki 14
20-031 Lublin

Do prac (w dwóch egzemplarzach) powinna być dołączona koperta opatrzona tym samym godłem, zawierająca imię, nazwisko, rok urodzenia i adres autora. Autorów — studentów prosimy o podanie nazwy uczelni, roku i kierunku studiów.

Nadesłane prace zostaną ocenione przez jury (złożone z pracowników naukowych UMCS, przedstawicieli KNP i redakcji „Kameny") i nagrodzone w dwóch działach:

I. Literatura polska do XIX w. włącznie,

II. Literatura polska XX w.

W każdym z działów przyznane zostaną następujące nagrody: pierwsza — 1800 zł, druga — 1200 zł, dwie trzecie — 500 zł. Przyznane zostanie również wyróżnienie (1000 zł) z najlepszą pracę dotyczącą zjawisk literackich lat 70-tych. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Ilość nadesłanych przez jednego autora prac może być dowolna. Nagrodzone prace publikowane będą na łamach „Kameny" i oddzielnie honorowane wg. stawek autorskich.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78,—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1831-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 3014 26.11.76 r.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu: 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Kazimierz Chyła

czas. 2552/1976/25

REFLEKSJE

Gdy niepotrzebni odchodzą, niepokój się wkrada w szeregi jeszcze potrzebnych.

◆

Iks zaszedł za daleko, a mógłby wiele dobrego zdziałać, gdyby zaszedł trochę bliżej.

Kto żyje jak chce, żyje byle jak.

◆

Tak długo czuł się młodym, że bezpośrednio po tym zaskoczyła go starość.

◆

Zmiana dekoracji polega często na zmianie nic nie znaczącego akcentu.

minuta myślenia

3 obojętne zmartwienia

MOŻE byłoby nudno, gdybyśmy w paśmie swojego życia nie znajdowali zjawisk denerwujących, odstręczających, niemiłych, takich w końcu, które zasługują na pstryknięcie palcami jak pyłek usadowiony na świeżo włożonym ubraniu? Może przepędzać je precz to popełniać błąd smakosza, który za jedyną przyprawę ma cukier i denerwuje się, że nie wzbogaca mu smaku grzybów? Może. W każdym razie pamiętam, że dość zgrzytliwym odgłosem przejechał mi koło ucha felieton Małachowskiego dowodzący, że jest nas, Polaków, za mało, w związku z czym potrzebne jest podjęcie określonych i wiadomych starań. Czułem się i tak zgnieciony, spychany, deptany, a w „Kulturze" przeczytałem, że powinienem być gnieciony i deptany jeszcze bardziej. Ostatecznie nie chodziło mi o jedną trzydziestoczteromilionową część narodu, która przywykła do tzw. stressów współczesności, a w tym miejscu „Kameny" ma nader skomprymowany kącik, ale coś mi w wywodzie Małachowskiego wydało się zbyt naciągane. I rzeczywiście. Skalski wykazał, że przyrost nie maleje, że tarapaty historii spotykały nas nie wtedy, kiedy było nas najmniej itd. Na miejscu Małachowskiego skończyłbym z felietonami. Dlatego, że dobry. Kiepskiemu by uszło.

Kiedy więc w swoich obawach zostałem uspokojony, kiedy uświadomiłem sobie, że jednej trzydziestoczteromilionowej części nie grozi zbyt rychłe stanie się częścią jedną czterdziestoczteromilionową, postanowiłem zamiast na ścisk w trolejbusie narazić się na przyjemność odebrania produktu masowego, bo telewizyjnego przekazu. Domowe pantofle plus konsumpcyjny stosunek do rzeczywistości — czy jest coś lepszego z okazji dwóch dni wolnych od pracy w okresie jesienno-zimowym?

I czy, Nieufny Czytelniku, podejrzewasz, że chcę z motyką rzucić się na kabaret Olgi Lipińskiej? Nie znasz mojego upodobania do dobrego humoru. Nie widzisz, jak odkładam felietonowe pióro, jak same mi ręce układają się do oklasków na wspomnienie każdego, a więc i tego z dnia 13 listopada „lecącego kabareciku". Dowcip, wyczucie aktualności, zmysł trafnego ciosu. Brawo.

Tylko nie brawo tam, gdzie jest Gałczyński. Czyżby dlatego, że Gałczyński na brawa nie zasługuje? Zasługuje stokrotnie, ale nie zasługuje sposób podania jego tekstów, notabene nie tylko przez kabaret Olgi Lipińskiej. Zły, myliny, nie rozumiejący. Działa tu mechaniczna podstawianka. Ponieważ Gałczyński to purnonsens, rozwydrzenie, wszystko na głowie, więc cokolwiek będzie na głowie, będzie Gałczyńskie. Tymczasem nie, ponieważ jest to postawienie na głowie swoistego rodzaju. Wymienia się jednym tchem: Gałczyński, Gombrowicz, Witkiewicz. Trudno o większe niezrozumienie. Tego niebywale celnego satyryka-realistę, tyle tylko, że posługującego się formą wywróconej podszewki, którą bardzo łatwo odczytać, jeśli ma się jaki taki słuch słowa, stawia się w jednym szeregu z pozorantami głębi filozoficznej, może nawet przyznając im więcej inwencji. A przyznając przez to, nie wszystkie nuty Gałczyńskiego są odczytane, natomiast wszystkie uczynwoiury Gombrowicza i Witkiewicza przez prześcigających się we wnikliwości krytyków są skwapliwie wyinterpretowywane jako polemiczne ciosy we współczesność. Gałczyński mówi za siebie, za tamtych muszą mówić krytycy. Kogóż więc będą stawiali wyżej od tych, dzięki którym mają pole do popisu?

Ale nie w tym rzecz, jeśli chodzi o kabaret. Rzecz w tzw. aranżacji. Ponieważ „Zielona gęś" to forma pojemna na wszelkie ekstrawagancje, więc organizator widowiska dochodzi do wniosku, że im więcej ekstrawagancji w inscenizacji, tym lepiej. Tymczasem znowu nie. Dlaczego? O wiśniówce koneserzy napojów wyskokowych powiadają, że to trunek, do którego zakąska znajduje się już w butelce. To samo z Gałczyńskim. Gałczyński to satyra, której sposób podania znajduje się już w tekście. Niczego tu nie potrzeba dosztukowywać, wzbogacać, podpierać, domnażać, dopikantniać. Im więcej „urozmaicenia" w scenkach, tym mniej z Gałczyńskiego. „Inwencja" reżysera i „kunszt" aktorów sprawiają tyle, że ginie tekst, oczywiście nie przez to, że jest przewyższony weną satyryczną wykonawców, ale przez to, że jest źle podany, źle wyartykułowany, czasem wprost nie dociera do słuchacza.

Często spotykałem się z opiniami lekceważącymi dowcip „Zielonej gęsi", „Listów z fiołkiem", „Ezopa świeżo malowanego". Nic dziwnego. Jeśli te opinie należą do ludzi, którzy z dobrą satyrą mają do czynienia tylko w rozmiarze pozycji dostarczanych przez radio i telewizję, w dodatku w takim wykonaniu o jakim mowa w niniejszym felietonie — a należy ono do ludzi obdarzonych przecież niebywałą „siłą przebicia" — to nie możemy się dziwić, że Gałczyński błąka się gdzieś po peryferiach popularności, razem ze swoim niespotykanym komizmem przyjmowany na odczepnego.

To już mi trochę ulżyło, ale niezupełnie. Mam jeszcze porachunki z formą „ty" używaną w publikacjach, zresztą nie tylko telewizyjnych. Szanowni panowie, nic mnie nie obchodzi, że między wami panują stosunki familiarne; kiedy występujecie publicznie, macie obowiązek posługiwać się formą publicznie przyjętą, a jest nią w Polsce forma „pan". Nie chcę być świadkiem waszej zażyłości, mam być odbiorcą tego, co macie mi do powiedzenia w trakcie prowadzonego ze sobą dialogu. A nie przestrzega się tego nie tylko ot tak sobie, mimochodem, przez zapomnienie, z rozpędu, ale całkiem celowo i z wyrachowaniem. Wtedy, kiedy pan X publicznie chce pokazać że, jest „na ty" z panem Y, który aktualnie otrzymał jakąś nagrodę. Do licha, oglądając, czytając, słuchając chcę mieć przed sobą pisarzy, publicystów, krytyków, a nie Kaziów, Tadziów, Władziów. Tych mogę sobie skrzyknąć sam. Dziwię się, że ludzie kulturalni...

Ale tu daję się ponosić oburzeniu. Czyli wróć to tempo. Niech będzie, tocz się życie dalej, wracam do swoich pantofli. Co tam w pogodzie na jutro?

Ijon

IDZIE ZIMA

Fot. A. Polakowski

bez tytułu

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

— 22 —

— Ty, Mariolu? A cóż ci znowu przychodzi do głowy? — Starszy pan czule obejmuje dziewczynę. Udaje, albo rzeczywiście jest już nieco podpity. Gdy Mariola na chwilę opuszcza pokój, mówi z filuternym zmrużeniem oka:

— My już tak z Mariolą kręcimy dwa lata. Fajna, ale ma swoje kaprysy. Nie może zrozumieć, że nie mogę się z nią ożenić.

— A jest pan wolny? — pyta Elżbieta i zaraz poprawia się: — Jesteś wolny?

— Nie. I nie będę wolny. Prowadzimy z żoną wspólne gospodarstwo. Takie podmiejskie gospodarstwo, rozumiecie. Jesteśmy związani interesem. Włożyliśmy sporo forsy i ewentualny rozwód kosztowałby zbyt wiele. Nie mam już zresztą siły, aby zaczynać życie od nowa.

— A co żona?

— Niby co?

— Co mówi na temat Marioli? Wie o niej?

— A bo to tak trudno cokolwiek ukryć przed wścibską kobietą? Awanturuje się od czasu do czasu, ale ona jest w podobnej sytuacji. Ją też wiąże interes. O rozwód na pewno nie wystąpi. Razem ciągniemy ten wózek.

Teraz Andrzej nie wytrzymuje:

— Stary — woła — ale ja nie bardzo rozumiem. Lato, roboty huk, a ty balujesz z tą swoją cizią. Kto ci pilnuje twoich goździków?

— Personel. Ty myślisz, że ja cokolwiek robię na swoich grządkach? Ja tylko prowadzę kasę. Twoje zdrowie!

Andrzej wychyla kolejny kieliszek. Staje się coraz bardziej zadziorny.

— Ciekawy jestem, ile ty wyciągasz na swoich kwiatuszkach?

— To tajemnica moja i tych, którzy mnie pilnują, abym za wiele nie zarobił. Ma się jednak swoje chody.

— Ty właściwie żyjesz jak pasożyt.

— Jak pasożyt? I czy ludziom do szczęścia nie są potrzebne goździki? A czy umarłym na Zaduszki nie są potrzebne chryzantemy?

— Które sprzedajesz po paskarskich cenach.

— Widziałeś?

— Nie, ale znam takich!

Pryska miły nastrój, kłótnia wisi w powietrzu. Wraca Mariola, która stara się łagodzić sytuację.

— Lucjan, spać. Jutro chcę pójść na plażę. Wydaje mi się, że dzień będzie słoneczny.

— Już mnie ciągnie do łóżka!

— Ciebie? Twoje pieniądze! — Andrzej traci panowanie nad sobą. Starszy pan podnosi się i niespodziewanie wymierza Andrzejowi potężny cios sierpowy. Elżbieta krzyczy:

— Morderca! na pomoc!

Gospodarz wpada do pokoju. Andrzej leży na podłodze. Chwilę jest zamroczony, ale gdy odzyskuje przytomność natychmiast wstaje i usiłuje odpowiedzieć ciosem. Bułgar przedziela ich ciałem.

Lucjan mówi:

— Byłem kiedyś bokserem. Jeszcze coś pozostało z dawnych świetności. Idziemy, Mariolka, tutaj nie umieją uszanować gości.

Elżbieta pośpiesznie zgarnia butelki ze stołu i biegnie za badylarzem:

— Zabieraj pan [illegible] wódkę!

— Koniaczek, malutka, koniaczek, [illegible] nie wódka! I powiedz swojemu amantowi, aby w przyszłości był bardziej ostrożny. Język należy trzymać za zębami.

* * *

Elżbieta jest w pokoju tylko z Andrzejem.

— Wracajmy już do Polski — mówi. — Dość mam Bułgarii.

— Dobra, ale jutro dosunę temu sukinsynowi.

— Andrzejku, przestań! Właściwie to ty zacząłeś. Po co mówiłeś o tej forsie?

— A co? Ona leci może na jego wdzięki? Gdyby nie był tak nadziany, ani chwili by z nim nie była.

— Zaprzeczasz sam sobie. Przecież to ty mówiłeś do mnie, abym nie wtrącała się w nie swoje sprawy.

— Bo zirytował mnie ten łajdus. Rozpycha się łokciami i szczyci Napoleonem.

— Sam ten Napoleon piłeś!

— Piłem, nie piłem. Daj spokój. Teraz ty z kolei chcesz mnie zdenerwować. A sama nie piłaś?

— Ale nie tyle, co ty.

— Kieliszki mi liczyłaś? Znalazła się matematyczka!

Elżbieta kryje twarz w dłoniach. Po policzkach spływają łzy, które daremnie stara się ukryć. Słowa Andrzeja bolą. Słowa Andrzeja smagają jak biczem.

— Jesteś niedobry. Jesteś niesprawiedliwy!

Andrzej nie odpowiada. Andrzej chrapie.

(cdn)

Chcieliśmy zamieścić tekst zaproponowany przez p. Stanisława S. z Włodawy, który już kilkakrotnie szturmuje na łamy „Kameny". W tej ostatniej jednak chwili otrzymaliśmy propozycję dalszego ciągu powieści od p. Anatola Pokornego z Gdańska. Wydała się ona ciekawsza z uwagi na to, że akcja, ostatnio nieco ślamazarna, wyraźnie się rozkręciła. Dziękujemy. Honorarium wysyłamy w pierwszych dniach stycznia. Na kolejny odcinek czekamy do 15 grudnia (z uwagi na święta musimy termin nieco przyśpieszyć). Nasza uwaga: może już czas, aby bohaterowie wrócili do kraju?